CIV 9013

Cena 20 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III | Warszawa, 20 lipca 1947 r. | Nr 29 (86)

TREŚĆ NUMERU: Edward Krynicki — Nowoczesne przyrodoznawstwo i religia, Jan Dobraczyński — Małe wyjaśnienie, J. A. Górski — Ostatnia akcja V kolumny, E. Paukszta — U sołtysa (fragment powieści), M. Rostworowski — Scherzo, Tydzień kulturalny, Recenzje, St. Podlewski — Przemarsz przez piekło, J. Raychman — Wieś Pastalozziego.

Edward Krynicki

Nowoczesne przyrodoznawstwo i religia

(Z poglądów Max Plancka)

W artykule p. t. „Czytając prasę angielską“ zamieszczonym w Nr 22 tygodnika „Dziś i Jutro“, znalazłem krótkie streszczenie wypowiedzi angielskiego uczonego F. Sterwood Taylora na temat wpływu nauki na wiarę. W kształtowaniu się poglądu człowieka na naturę własną i otaczającego go świata, zagadnienie stosunku nauki do religii, posiada znaczenie niezmiernej wagi.

Słusznie więc ubolewa F. Sterwood Taylor nad faktem, że nauczyciele, ucząc o prawach nauki, nie pouczają zarazem czym one są, jaką rolę grają w poznaniu i w jakim sensie odtwarzają rzeczywistość. Taylor dziwi się, że nauczyciele religii nie zastanawiają się nad zarzutami stawianymi podstawom religii objawionej i jakże często nie umieją zabezpieczyć młodzieży przed utratą wiary na skutek zetknięcia się z niedowiarstwem. To ostatnie wszak często nadużywa nauki i rzekomej niezgodności jej z religią. Młodzież kształcącą się pociąga pozorna jasność pism przeciwreligijnych, osiągana przez pominięcie trudności i unikanie pogłębienia.

Zagadnienie stosunku nauki, a szczególnie nauk przyrodniczych do religii jest obecnie często poruszane przez wybitnych uczonych zarówno obcych, jak i naszych. Szczególnie fizycy i chemicy chętnie zabierają głos w tej sprawie, pobudzani wielkimi i przełomowymi postępami w swych dziedzinach naukowych. Z dawniejszych prac wspomnę tu ciekawe studium prof. Czesława Białobrzeskiego, umieszczone w tomie XI wydawnictwa „Nauka Polska“.

Dziś mam pod ręką pracę wielkiego uczonego niemieckiego Maxa Plancka p. t. „Religion und Naturvissenschaft“ („Religia i przyrodoznawstwo“) wydana w Lipssku w 1938 r. Zasługi naukowe Maxa Plancka, twórcy teorii Kwantów, są wielkie i powszechnie znane. Dziś trudno je jeszcze ocenić w całości, niewątpliwie jednak historia nauk postawi Plancka w szeregu najwybitniejszych uczonych ludzkości ,wśród takich, jak Newton, Kopernik, Pasteur, Darwin. Nawiasem zaznaczę tu, że był on jednym z niewielu uczonych niemieckich, zachowujących zupełną niezależność wobec prądów hitlerowskich.

Dla uzupełnienia i rozwinięcia wypowiedzi F. Sterwood Taylora, streszczonych w wymienionym artykule, pragnę przytoczyć tu niektóre najbardziej zasadnicze ustępy z pracy Maxa Plancka. Często podam je w dosłownym tłumaczeniu, ze względu na autorytet Plancka, a również na jego niezwykle jasne i proste formułowanie myśli.

Uczony ten badacz odrywa się od precyzyjnych przyrządów pomiarowych i zabiera głos w sprawie ogólnego stosunku nauki do religii, ponieważ, jak wyjaśnia w I rozdziale swej pracy, sprawa ta w miarę rozwoju kultury nabiera coraz większej wagi i z pewnością stanie się decydującą dla jej przyszłego losu. Ostro i bezwzględnie potępia on tych, którzy dla celów, nie mających nic wspólnego z nauką, wykorzystują wyniki badań przyrodniczych dla walki z religią. Czynią to interpretując je płytko i ignorancko, a często nieuczciwie i ze złą wolą. Pisze więc: „Nie jest dziwnym, że ruch bezbożniczy, ogłaszający religię jako oszukaństwo, celowo wymyślone przez żądne władzy duchowieństwo, szydzący z pobożnej wiary w istnienie wyższej potęgi, gorliwie wykorzystuje postępy nauk przyrodniczych. W rzekomej łączności z nauką dąży bezbożnictwo do rozszerzenia w najszybszym tempie swego rozkładowego wpływu na wszystkie narody ziemi i na wszystkie ich warstwy. Nie potrzebuję bliżej rozważać, że zwycięstwo bezbożnictwa przekreśliłoby nietylko największe wartości naszej kultury, ale również i wszelką nadzieję na lepszą przyszłość“.

Cel swej pracy określa Planck w słowach następujących: „Tymbardziej będę usiłował z punktu widzenia uczonego, wdrożonego do najściślejszych badań przyrodniczych wyjaśnić pytanie, czy i w jakim stopniu prawdziwe i szczere przekonania religijne dadzą się pogodzić z wynikami nauk przyrodniczych lub krócej, czy przyrodniczo wykształcony człowiek może być prawdziwie religijnym“.

Stawiając to zasadnicze pytanie, autor w dwóch następnych rozdziałach podaje czytelnikowi potrzebny materiał rzeczowy do umotywowanej odpowiedzi. Najpierw więc rozważa, na czym polega istota religii i religijności oraz jakie ogólne wymagania stawia religia swym wyznawcom; następnie omawia szerzej jakiego rodzaju są prawa, o których poucza przyrodoznawstwo i jakie twierdzenia uważa za bezsporne.

Religię określa Planck jako więź człowieka z Bogiem, religijność jako dążenie człowieka do coraz pełniejszego zjednoczenia się z Bogiem i do bezgranicznego zaufania w Jego wszechmoc i gotowość pomocy. Wykonywanie obowiązków religijnych skłania wyznawców do wzajemnego porozumiewania się w sprawach wiary i dania jej wspólnego wyrazu. W tym celu dla wyrażenia oderwanej treści religii przyjmuje ustalone zewnętrzne formy dla wszystkich zrozumiałe.

Człowiek religijny odpowie, że Bóg istnieje zawsze, że dzierży w swej wszechmocy cały świat, że takim pozostanie, gdy ziemia zniknie i wszystko, co na niej jest; i tylko tacy mogą się zaliczać do prawdziwie religijnych i osiągnąć pokój duchowy.

Ustaliwszy czego wymaga każda religia od swych wyznawców, Planck przechodzi na teren ścisłych nauk przyrodniczych i stara się wyjaśnić, jakiemi drogami dochodzimy do poznania ogólnych praw natury, co oznaczają te prawa i jakie prawdy nauka uważa za bezsporne. Dla swych rozważań wybiera dziedzinę najbardziej sobie znaną i najściślejszą — mianowicie fizykę doświadczalną i teoretyczną, motywując wybór również tą okolicznością, że ze strony fizyki można oczekiwać najwięcej sprzeciwów względem twierdzeń religijnych. Najpierw ustala, że wszystkie wyniki fizyki opierają się na pomiarach, że wszystkie pomiary odbywają się w czasie i przestrzeni i określają z zadziwiającą często dokładnością zarówno wielkości astronomiczne, jak i nadzwyczaj małe, dotyczące ułamków atoma i milionowych części sekundy.

Pomiary te doprowadziły do wniosku, że wszystkie zjawiska fizyczne sprowadzają się bez wyjątku do poprzedzających działań mechanicznych lub elektrycznych, wywołanych ruchem pewnych elementarnych cząsteczek, jak elektrony, protony, neutrony, pasitrony. Masa i ładunek elektryczny tych cząsteczek wyraża się bardzo małymi wielkościami, określanymi coraz bardziej dokładnie w miarę udoskonalenia metod pomiarów. Te małe liczby t. zw. stałe uniwersalne (konstanty) są niewątpliwie niezmiennymi cegiełkami naukowej budowy fizyki teoretycznej. Nasuwa się odrazu pytanie, czy te niezmienniki — konstanty są tylko wynalazkiem badawczego umysłu ludzkiego, czy też posiadają byt realny, niezależny od umysłu ludzkiego.

Pozytywiści negują realność stałych uniwersalnych, twierdząc, że nieodzownym warunkiem każdego pomiaru jest obserwator i że treść twierdzenia opartego na pomiarach nie da się wyodrębnić od obserwatora i traci swój sens, gdy chcemy go pominąć i szukać poza nim i jego pomiarami czegoś realnego i niezależnego.

Planck zwalcza krańcowy pozytywizm w szczegółowych i ciekawych rozważaniach, które muszę tu pominąć dla szczupłości miejsca, i dochodzi do wniosku, że dla wyniku pomiaru czynnik decydujący leży poza obserwatorem i że źródła przyczynowości i porządku w naturze znajdują się nie w umyśle badacza, jak twierdzą pozytywiści, a istnieją realnie poza nim.

Stwierdzenie i ścisłe oznaczenia stałych uniwersalnych daje najbardziej uchwytne dowody istnienia w naturze realnej rzeczywistości, niezależnej od jakichkolwiek ludzkich pomiarów. Wśród prawdziwych fizyków chyba żaden nie potraktuje poważnie twierdzenia, że stałe unwersalne są tylko niezwykle pożytecznym dla nauki wymysłem badaczy, umożliwiającym pełny i dokładny opis najrozmaitszych wyników pomiarów. Stałe uniwersalne nie zostały bowiem wprowadzone d[o]

Wytyczne

Wokół dzisiejszych trudności

Umieszczenie poglądów Maxa Plancka na temat stosunku wiary i ostatnich zdobyczy przyrodoznawstwa może być wzmocnieniem dla wątpiących, nie jest jednak wkroczeniem w dziedzinę największych trudności dzisiejszego katolika.

Epoka zwątpień natury intelektualnej minęła wraz z końcem XIX w.

Analogie między Objawieniem a postępem nauki są naogół znane.

To, czego potrzeba nowoczesnemu człowiekowi, polega na bezkompromisowym programie działania w imię wyznawanych zasad. Na heroicznym postępowaniu zgodnie z przyjmowanym istnieniem Boga.

Ważne tu są dwie dziedziny: problem tłumaczenia i przetwarzania rzeczywistości zgodnie z katolickim poglądem na świat i kwestia siły, potrzebnej dla przezwyciężenia skłonności do kompromisu z hedonizmem.

Pierwsze wymaga wysiłku umysłu. Trzeba poznawać katolicyzm, trzeba w jego ramach tworzyć.

Drugie jest sprawą kształcenia woli. Jesteśmy naogół zrujnowani wojną. Trzeba odbudować zatracone wojną siły.

Te dziedziny leżą w zasięgu przyrodzonych sił duszy ludzkiej. Uzupełnić je musi współdziałanie z Łaską. Katolicyzm bowiem, to nietylko pogląd naś świat i „recepta“ życia. To zawsze i przede wszystkim — religia.

DN I 591 052

BIBLIOTEKA INSTYTUTU BADAWCZEGO W GDAŃSKU

W kraju...

SPRAWY GOSPODARCZE

WSPÓŁPRACA Polski z zagranicą rozwija się na polu gospodarczym nader pomyślnie. W ostatnich dniach przybył do Warszawy stały delegat FAO — międzynarodowej organizacji do badań kultury rolniczej, działającej w ramach ONZ. W najbliższym czasie należy się spodziewać przyjazdu instruktorów rolnych ze Stanów Zjednoczonych. Zapoznają nas oni z nowymi metodami gospodarki rolnej oraz przeprowadzą zakrojone na szerszą skalę kursy prawidłowego obchodzenia się z maszynami rolniczymi dostarczonymi przez UNRRA. Rząd czyni starania aby sprowadzić do Polski szereg naukowców, specjalistów z rozmaitych dziedzin związanych z gospodarką rolną, przede wszystkim zaś weterynarzy, a to wobec niezbyt wysokiego poziomu hodowli bydła i grasujących wśród zwierząt chorób.

Na marginesie spraw gospodarczych warto wspomnieć ogłoszone ostatnio dane liczbowe dotyczące eksportu cementu.

W roku 1946 wywieźliśmy 463.155 t cementu, jest więc to druga w kolejności po węglu poważna pozycja naszego eskportu. Wypada przy tym podkreślić, że przed wojną wywoziliśmy przeciętnie około 100 ton rocznie.

Sądząc z wypowiedzi prasy zagranicznej w roku bieżącym zwiększy się wydatnie eksport ryb z Polski do krajów skandynawskich i Anglii. Obok wysyłanych dotychczas za granicę łososi i węgorzy eksportować będziemy również konserwy rybne. Stoją przed nami w tej dziedzinie olbrzymie wprost możliwości dotychczas prawie nie wykorzystane.

Słusznie zatem prasa polska coraz częściej zwraca uwagę na konieczność popierania rybołówstwa morskiego, tak dotąd ubogiego w niezbędny sprzęt i fachowców.

REPATRIACJA

NASILENIE rozpoczętej wiosną repatriacji ciągle wzrasta. Na pierwszym miejscu pod względem liczebności wymienić należy transporty Polaków z Anglii. Poza tym wraca coraz więcej rodaków z Bliskiego Wschodu, a nawet z Indii. W dalszym ciągu trwa repatriacja górników polskich z Francji, rekrutujących się spośród tzw. „starej emigracji". Notujemy też bardzo charakterystyczny objaw. Mianowicie ostatni transport przybyły drogą morską z Anglii składał się w lwiej części z żołnierzy, którzy początkowo zgłosili swój akces do Polskiego Korpusu Przysposobienia.

Od Administracji

Zawiadamiamy, naszych P. T. prenumeratorów, że byliśmy zmuszeni podnieść od dnia 1 lipca r.b. cenę prenumeraty na zł 60.— miesięcznie, 180.— kwartalnie.

Pojedynczy numer kosztuje 20.— zł

Prosimy o wyrównanie różnicy ceny prenumerat do wysokości 60 złotych miesięcznie

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży

Ks. dr Win. Helenowski

Gostynin, wojew. Warszawskie

nauki dla jakichkolwiek celowych powodów. Przeciwnie, one same wkroczyły z niepokonaną siłą do zgodnych wyników wszystkich odnośnych pomiarów.

Uogólniając, można twierdzić, że fizyka udawadnia istnienie świata realnego, niezależnego zupełnie od nas, którego istotę nigdy nie będziemy mogli poznać bezpośrednio, a jedynie poprzez okulary naszych wrażeń zmysłowych za pośrednictwem pomiarów.

W tym świecie zasadnicze elementarne cząsteczki jego budowy występują zawsze, jako wzajemnie związane i według właściwego planu złączone. Panuje więc w naturze we wszystkich zjawiskach ogólna w pewnym stopniu poznawalna prawidłowość.

Jasny obraz tej prawidłowości widzimy we wszystkich prawach fizyki dla przykładu Planck szerzej omawia na tle zjawisk z różnych dziedzin fizyki podstawową jej zasadę — prawo zachowania energii.

W nowoczesnej fizyce prawo zachowania energii uzupełnione jest inną zasadą, niemniej ważną i ogólną — t. zw. zasadą najmniejszego działania. Istotny sens tej zasady da się zilustrować na następującym przykładzie. Wiemy, że droga promienia idącego od świecącej gwiazdy, o ile nie znajduje się ona dokładnie w zenicie, wykazuje mniej lub więcej złożone zakrzywienie, zależne od różnego załamania światła w kolejnych warstwach atmosfery ziemskiej.

To skrzywienie może być okreslone jednym prostym twierdzeniem: pomiędzy wszystkimi drogami, które dadzą się pomyśleć, jako idące od gwiazdy do oka, promień światła wykorzystuje nie najkrótszą prostoliniową, a zawsze tę właśnie, dla przebiegu której, biorąc pod uwagę rozmaitą prędkość światła w różnych warstwach atmosfery, potrzeba najkrótszego czasu — Fotony, które tworzą promień światła zachowują się jak rozsądne istoty. One wybierają pomiędzy rozmaitymi krzywymi zawsze tylko tę jedną, która najprędzej prowadzi do celu. Pomijam tu ścisłe matematyczne sformułowanie zasady najmniejszego działania, sprowadzające się do całkowania t. zw. funkcji Lagrange'a, a przytoczę inne, mniej dokładne, ilustrujące jednak istotę zagadnienia, mianowicie następujące: ze wszystkich dających się pomyśleć zdarzeń, które dany układ fizyczny sprowadzają w określonym czasie do innego określonego stanu, rzeczywistym w naturze jest tylko jedno zdarzenie— jakby najbardziej rozsądne — najkrótsze w czasie, najbardziej energetycznie oszczędne. Sformułowanie tego prawa w ujęciu ścisłym matematycznym, czy też w popularnym, przytoczonym wyżej, budzi wrażenie w każdym bezstronnym umyśle, że w naturze panuje nietylko porządek i przyczynowość, którym dają wyraz wszystkie prawa fizyki, ale również, że natura rządzona jest przez wolę rozsądną i świadomą celu. Trzeba przynajmniej zgodzić się na to, że badania w dziedzinie fizyki teoretycznej doprowadziły do zadziwiającego sformułowania fizycznej przyczynowości, wprowadzającego do zjawisk przyrodniczych cechę celowości, do niedawna nieposiadającej prawa obywatelstwa w wiedzy przyrodniczej. Do pojęcia przyczynowości wkracza nowa idea: do Causa efficiens — przyczyny wychodzącej z teraźniejszości do przyszłości i uzależniającej stan późniejszy od stanu wcześniejszego dołącza się Causa finalis, które przeciwnie przyszłość a mianowicie ściśle wytknięty cel czyni założeniem i w ten sposób, określa przebieg zdarzenia doprowadzającego do celu.

Czy istnieje więc przeciwstawność religii i nauki w tych dziedzinach, w których wzajemnie się stykają, a przede wszystkim w pytaniu najistotniejszym, dotyczącym istnienia najwyższej Potęgi rządzącej światem? — Po długich rozważaniach Planck dochodzi w swej pracy do wniosku, że nauka i religia dadzą się pogodzić przynajmniej w pewnym stopniu, a w żadnym razie nie są sobie przeciwstawne. Nauka i religia głoszą bowiem zgodnie, że istnieje niezależny od umysłu ludzkiego rozumny porządek świata i powtóre, że istota tego światowego porządku nigdy nie będzie bezpośrednio poznana, da się ona ująć tylko pośrednio, względnie przeczuć. — Religia używa przytym właściwych sobie założeń, ścisłe zaś przyrodoznawstwo pomiarów, opartych na wrażeniach zmysłowych. Nic więc nie stoi na przeszkodzie, aby uznać za identyczne dwie tajemnicze potęgi zawsze działające: Boga w religii oraz przyczynę ładu i porządku we wszechświecie, stwierdzonego przez przyrodoznawstwo.

Myśl tę syntetyzuje Planck w słowach następujących: Ta bo-skość, do zbliżenia się, z którą dąży człowiek religijny zapomocą uchwytnych praktyk, jest identyczna z potęgą regulującą prawa natury, o których przyrodnikowi mówią wyniki badań opartych na wrażeniach zmysłowych. Równolegle z tą zgodnością istnieje zasadnicza różnica. Człowiek religijny odczuwa Boga bezpośrednio, jest on dlań pierwszym źródłem wszystkiego, co istnieje, co powstało z Jego wszechmocy w świecie materialnym i duchowym. Dla badacza przyrody dzieje się inaczej: dla niego jedynym punktem wyjścia jest treść jego rozumowych założeń i wynikających z nich pomiarów. Stąd w miarę możności zbliża się do poznania Boga i porządku panującego w świecie jako do celu najwyższego, wiecznie nieosiągalnego. Dla religii Bóg jest początkiem myślenia, dla przyrodoznawstwa zaś końcem; dla religii jest fundamentem, dla przyrodoznawstwa zaś koroną wszelkich rozważań światopoglądowych. A dalej pisze: „Ta różnica jest odpowiednikiem różnej roli ,jaką w życiu ludzkim odgrywają religia i przyrodoznawstwo.

Przyrodoznawstwo potrzebne jest człowiekowi dla poznania, religia zaś dla działania. Dla poznania jedynym punktem wyjściowym są rozumowe założenia naszego umysłu; dla działania zaś droga ta nie nadaje się, ponieważ z decyzją, aktem woli, nie możemy czekać, aż poznanie stanie się pełnym.

Życie, pośród którego stoimy, zmusza nas często do natychmiastowego powzięcia decyzji i poparcia swego przekonania czynem.

W tych wypadkach nie pomoże żadne długotrwałe rozważanie, a jedynie wyraźny i jasny nakaz, który uzyskaliśmy z łączności z Bogiem. Ta łączność jedynie może nam zapewnić wewnętrzną moc i trwały pokój duchowy, najwyższe dobro życiowe... Dokądkolwiek więc zwrócimy wzrok swój, nie znajdziemy nigdzie przeciwieństwa pomiędzy religią a wiedzą przyrodniczą; przeciwnie w punktach zasadniczych stwierdzimy pełną zgodność.

Religia i przyrodoznawstwo nie wykluczają się wzajemnie; przeciwnie te dwie dziedziny wzajem nie się uzupełniają". Parę ustępów z końcowego rozdziału pracy Plancka przytoczyłem w dosłownym tłumaczeniu, aby jak najdokładniej powtórzyć wnioski wielkiego uczonego, oparte na wnikliwej analizie wzajemnego stosunku religii i nauki.

Edward Krynicki

Jan Dobraczyński

Małe wyjaśnienie

W n-rze 7 katolickiego tygodnika „Życie" wydawanego w Londynie ukazał się artykuł pt. „List z Warszawy", w którym znajdujemy m. in. następujący passus:

„Zwracamy uwagę na charakterystyczną wypowiedź krajowego zwolennika współpracującej z reżimem grupy „Dziś i Jutro" — t.zw. „Katolicy Społeczni" — który skarży się na brak wolności w kraju dla pracy katolickiej. Parę tygodni temu zaś jeden z wodzów tej grupy i współredaktor „Dziś i Jutro", zastraszająco płodny pisarz, Jan Dobraczyński na konferencji prasowej w Rzymie, zorganizowanej przez reżimową ambasadę dla dziennikarzy włoskich, głosił coś wręcz innego. Stwierdził mianowicie, że wszystkie wieści, kolportowane w świecie o trudnościach Kościoła i pracy katolików w Polsce, są czczym wymysłem...

Lecz nie chodzi tu o „przygważdżanie nieprawdy".

O jedno tylko chodzi: Jeśli k a t o l i k zaprzecza faktowi, że istnieją, mówiąc najdelikatniej, wielkie utrudnienia w pracy katolickiej, fałszuje obraz osiągnięć swojego katolicyzmu. Inaczej bowiem, po wynikach, ocenia się prace w atmosferze wolności dokonywane, a inaczej, jeśli trzeba przezwyciężać trudności i przeszkody. **Trudności, przeszkody i prześladowania są naturalnym powietrzem katolicyzmu.** Są znakiem, że praca ta z Boga jest i są przez Boga jako znak — obiecane. Jako znak i zasługa.

Żaden więc k a t o l i k, który żyje świadomością nadprzyrodzonego charakteru katolicyzmu, nie ośmieli się nigdy wydzierać pracy katolickiej jej bożego znaku, jakim na zawsze stały się trudności i przeszkody".

W pewnych kołach emigranckich i tych tzw. katolickich i niekatolickich spotykaliśmy się ostatnio z szeregiem ataków na „Dziś i Jutro" i jego współpracowników. Przeżyjemy to. Słusznie powiada autor artykułu z „Życia": „Trudności, przeszkody i prześladowania są naturalnym powietrzem katolicyzmu". Wprawdzie z artykułu trudno zrozumieć o co autorowi chodzi: czy o to, aby te prześladowania były, czy aby ich nie było. Ale to już mniejsza.

Niestety — trudno jest prowadzić dyskusję z prasą emigrancką. Próbowałem, będąc za granicą, z tymi ludźmi rozmawiać. Na ogół — nic z tego nie wyszło. Bo w zetknięciu, w rozmowach prawie wszyscy (ci, z którymi rozmawiałem) przyznawali mi rację; dziś, z daleka piszą coś zgoła innego.

Ale nie o to chodzi. Chciałbym na marginesie charakterystycznej wypowiedzi „Życia" wyjaśnić sprawę mego tzw. „wywiadu" w Rzymie, który wywołał w pewnych kołach warszawskich tak nieprawdopodobne zgorszenie, że nie brak było ludzi, którzy, nie czekając nawet na mój powrót, pisali grzmiące protesty, wysyłali delegacje, zanudzali nimi Dostojników Kościoła, żądali dla mnie potępienia, wykluczenia, rozkolportowali za granicą odpowiednie informacje itp. Atmosfera wokół tej sprawy po moim powrocie była tego rodzaju, że wywoływała mdłości. Nie miałem przez długi czas sił, aby na ten temat z kimkolwiek mówić.

Dziś już mówić mogę. Przegryzłem w sobie świadomość, że „trudności, przeszkody i prześladowania są naturalnym powietrzem katolicyzmu". A więc sprawa wyglądała następująco: w salonie p. Mieczysława Pruszyńskiego, I-go sekretarza Ambasady R. P. w Rzymie, odbyło się towarzyskie cercle dla przedstawicieli prasy włoskiej. Proszono mnie, abym na zebraniu odpowiadał na pytania na temat b. szeroki: co słychać w literaturze i publicystyce katolickiej w Polsce? W zebraniu wzięło udział szereg publicystów i pisarzy komunistycznych oraz kilku liberalnych. Katolicy, choć byli zaproszeni i choć z nimi jeszcze 2 dni przedtem rozmawiałem — nie przyszli, ponieważ wyjechali z włoskim premierem. Odbiło się to na dyskusji. Pytający nie wchodzili w meritum sprawy, zadawali pytania często po prostu naiwne — np. czy kościoły w Polsce są otwarte, czy nabożeństwa mogą się odprawiać, czy istnieje w ogóle prasa katolicka itp. Odpowiadałem, jak umiałem — i jak mi się wydawało że odpowiadać trzeba. Uważałem, że trzeba mówić prawdę, samą prawdę i tylko prawdę, ale mniemałem iż pokazując obok świateł cienie — nie wolno mi ich wyolbrzymiać. Wobec cudzoziemców muszę być Polakiem. Nie szkalowałem swej Ojczyzny w czasach „radosnej twórczości", nie będę szkalował Jej dziś. Right or wrong — my country — mówią Anglicy. Naturalnie w granicach prawdy.

Powiedziałem więc, że nabożeństwa odprawiają się i milicjanci nie strzegą drzwi kościołów z gotową do strzału „pepeszą" — ale także opisałem batalię jaką stoczyła prasa katolicka przeciwko ślubom cywilnym. Wyliczyłem wychodzące w Polsce czasopisma katolickie, ale nie ukrywałem, że nakłady ich — zwłaszcza jeżeli chodzi o pisma popularne jak np. „Rycerz Niepokalanej" — są grubo niższe niż potrzeby terenu. Twierdziłem, że literatura i publicystyka katolicka w Polsce stoją bardzo wysoko, tak wysoko jak może nigdy nie stały, że katolicyzm zdobywa ludzi, pogłębia się i przeciwstawia doktrynie materialistycznej. Pisarz włoski, komunista, p. Moravia zapytał mnie czy istnieją w Polsce tendencje ideowego zbliżenia się marksizmu i katolicyzmu (we Włoszech istnieje taka grupa p. Franco Rodano). Odpowiedziałem mu, że nie, że godzenie tak skrajnie przeciwstawnych sobie doktryn wydaje się nam niepodobieństwem, że nie widzimy katolicyzmu w obecnym Stronnictwie Pracy, że zdaniem naszym na płaszczyźnie ideowej może być między marksizmem i katolicyzmem tylko walka — co natomiast nie wyklucza chyba możliwości współpracy katolików i marksistów w życiu wewnętrznym Państwa.

Po zebraniu ukazał się w prasie włoskiej szereg notatek, jak np. notatka w „Buonasense" (którą opublikowało swego czasu „Dziś i Jutro"). Prasa włoska lojalnie nie starała się uogólniać moich opinii. Przyjęła je jako informacje — wypowiedziane z całą szczerością i serdecznością, jaką żywię dla społeczeństwa włoskiego. Jeśli społeczeństwo polskie — a raczej pewna jego grupa — znając mnie od 16 lat z nieprzerwanej pracy publicystycznej i literackiej zawsze tak samo katolickiej — zrozumiała ów „wywiad" inaczej, tłumaczy się to chyba podnieconą atmosferą walki o przymiotnik „katolicki", którym się coraz więcej ludzi w Polsce szczyci, lecz i coraz więcej jest o niego zazdrosnych

Jan Dobraczyński

Jerzy A. Górski

Ostatnia akcja piątej kolumny

W czasie minionej wojny nieraz zdarzyło nam się powiedzieć w przystępie dobrego humoru, trącącego co prawda nieco wisielczą nutą: „Kiedy się skończy już ten koszmarny okres — nastąpi idealny spokój; nic literalnie nie będzie się działo, nie przeżyjemy więcej żadnych sensacyjnych wydarzeń". Martwiliśmy się niemal: „O czym pisać będą dzienniki". Niejeden zapamiętały optymista w głębi duszy lękał się wprost przesytu jaki przyniesie mu powszechny pokój i uregulowanie stosunków międzynarodowych in saecula saeculorum. Niektórzy zaś politycy domowego chowu ze zgrozą wpatrywali się w przyszłość wróżąc nadejście królestwa nudy i zmierzchu instytucji kawiarni z braku tematów do szeptem prowadzonych konferencji mających niezmiennie na celu uratowanie świata od zagłady. Wiemy dobrze, że stało się zgoła inaczej — sensacji jak dotąd nie braknie. Co więcej — od pewnego czasu coraz częściej docierają do nas wiadomości żywo przypominające „błogie lata" epoki międzywojennej. I tak na przykład zatarł się w naszej pamięci termin „spisek". W ciągu 8 lat posługiwaliśmy się innym zupełnie słownikiem: konspiracja, partyzantka, ruchy oporu, powstania, nawet rewolta czy bunt, ale zawsze w imię prawdziwej sprawiedliwości, przeciw śmiertelnemu wrogowi. Odwykliśmy trochę od przewrotów wewnętrznych, zamachów stanu i marszów na stolicę. Dopiero ostatnie wypadki we Francji odświeżyły trochę stare wspomnienia. Czytaliśmy wszyscy o wykryciu tam spisku antyrządowego. Znamy nazwiska przypuszczalnych przywódców, zastanawiamy się nad osobami inspiratorów. Uwagę naszą pochłonęły rewelacyjne tytuły zalewające pierwsze kolumny codziennej prasy. Czy jednak podczas tej frapującej lektury nie nasuwają się głębsze myśli?

Nie wnikajmy chwilowo w kulisy przygotowywanego zamachu stanu, nie dociekajmy jakie przyczyny złożyły się na dymisję gen. de Larminat, zaprzestańmy plotek na temat de Gaulle'a — „L'Humanité" zrobi to znacznie lepiej. Ostateczne wyjaśnienie całej sprawy pozostawmy czasowi i... francuskiej policji.

Poświęćmy za to nieco uwagi innemu zagadnieniu. Czy rzeczywiście istnienie spisku stanowi tak wielką rewelację, jak przedstawia to prasa? Zdawałoby się, że fakt ten nie ulega wątpliwości.

Mało jest przecież państw w Europie, któreby równie gorliwie, konsekwentnie i z niespożytą energią od blisko trzech lat tępiły wszelkie ślady zdrady i odstępstwa, jak to czyniła i nadal czyni Francja. Kraj ten, ojczyzna nieszczęsnego terminu „kolaboracja", dokłada wszelkich wysiłków, aby ukarać kolaboratorów i wyłączyć ich poza nawias społeczeństwa. „Epuration" nie oszczędziła nikogo: stanął przed trybunałem bohater spod Verdun, dziesiątki i setki admirałów, generałów, oficerów wszelkich broni i szarż utraciło z wyroku swe szlify i stanęło naprzeciw egzekucyjnych plutonów. Rozstrzeliwano lub osadzano dożywotnio w twierdzy i polityków, pisarzy, dziennikarzy. Pamiętamy przecież: Luchaire, Ferdonnet, Herold Paqui, Charles Maurras, Benoist-Mechin i tysiące innych. Nawet artyści, których jedynym przewinieniem był występ przed niemiecką publicznością odpowiadali za to, ponosząc karę więzienia, infamii lub nagany. Dotknęło to nawet światowe sławy jak pianista Cortot, Cecile Sorel czy Chevalier, nie wspominając już o przeciętnych aktorach czy aktorkach w stylu osławionej Joseline Gais, kochanki gestapowskiego siepacza, znanego pod poetycznym pseudonimem „La gueule tordue". Sprawiedliwość francuska działała bezlitośnie. Nie zawsze jednak obiektywnie. Sądy miały niejednokrotnie charakter porachunków politycznych.

Były jednak sprawy oczywiste. Jakże wstrząsające wrażenie wywarł proces młodego porucznika, który rangę swą zawdzięczał okazanemu męstwu a nie szkole oficerskiej i stawał przed sądem prezentując pierś pokrytą najwyższymi odznaczeniami za waleczność. Człowiek ten biorąc udział w zdobyciu Metzu stracił obie nogi. Akt oskarżenia zarzucał mu służbę w milicji Darnanda. Odpowiadało to zresztą prawdzie. Skazano go na śmierć i tylko swym bojowym zasługom poniesionym w walce o wolność Francji zawdzięczał zamianę kary na dożywotnie więzienie. Przykład aż nadto chyba wyraźny dla scharakteryzowania zasadniczych tendencji kierujących trybunałami.

Mimo to jednak na wolności pozostało stosunkowo dużo ex-kolaboratorów i co dziwniejsze dokonanych w aparacie państwowym w wojsku, policji i administracji i to często na wcale niepoślednich stanowiskach.

Na paradoks ten złożyły się rozmaite okoliczności: protekcja, spryt, umiejętna gra na dwa fronty w przeszłości (tzw. resistants de première heure). Trudno nie przyznać racji francuskiej prasie lewicowej, twierdzącej, że tolerancję w niektórych wypadkach posuwa się zbyt daleko.

Inna sprawa, że ludzie tejże lewicy zasiadali na ministerialnych fotelach, a skandale trwały nadal. Powiemy teraz o jakie skandale tu chodzi, rzecz to bowiem dotyć osobliwa.

Otóż we Francji szereg ustaw wydanych przez Vichy a dotyczących dziedzin nie posiadających aspektu politycznego utrzymał się w mocy. Niestety pojęcie zachowania ciągłości państwa nie ograniczyło się do honorowania rozporządzenia zakazującego palenia tytoniu w metro. Do dzisiejszego dnia siedzą w więzieniach ludzie skazani przez Vichy. Zdarzały się wypadki, że zdemobilizowany żołnierz czy oficer z Forces Françaises Libres, wracał po odbytej kampanii do domu i następnego dnia zostawał najformalniej w świecie aresztowany pod zarzutem dezercji. Rozkaz aresztowania pochodził z roku 1940, 1941, 1942 lub 1943, tj. z tego czasu, gdy delikwent z narażeniem życia przedzierał się do Anglii, aby kontynuować walkę o niepodległość. I oto wolna Francja pozbawiła swego żołnierza wolności, przyczym nierzadko pomyłki takie ciągnęły się miesiącami a nieszczęśliwiec siedział w celi razem z pachołkami Hitlera: milicjantami Darnand'a czy żołdakami L.V.F.

Jasne więc, że Republika nie miała powodu do dumy ze swych niektórych strażników. Poza nimi jednak należy wyróżnić jeszcze jedną kategorię Francuzów, stanowiącą pierwszorzędny element spisku przeciw IV Republice. Nie wszyscy przedwojenni członkowie, zwolennicy faszystowskich organizacji francuskich a nawet wręcz „piątej kolumny" mieli okazję znaleźć się pod kluczem. Byli ostrożni, nie manifestowali otwarcie swych sympatii progermańskich, nie angażowali się w tak wątpliwej wartości przedsięwzięcie, jak Vichy. Przetrwali wojnę w zaciszu, a wraz z nimi i ich starannie zakonserwowane poglądy. Zresztą nie zawsze antyrepublikańskie przekonania szły w parze z prohitlerowskim nastawieniem. Wielu przecież zwolenników z przed 1939 walczyło później dzielnie z najeźdźcą. Tak było z częścią Action Française i La Croix de Feu. Przywódca tej ostatniej płk. de la Rocque został przez Niemców deportowany do obozu koncentracyjnego za swą zdecydowanie wrogą dla nich postawę. Co innego jednak patriotyzm a znów coś zgoła innego republikanizm. Panujący zaś od wyzwolenia rozgardiasz IV Republiki umacniał jeszcze malkontentów w ich przekonaniach.

Jak więc widzimy, elementy spiskowe mogły się rekrutować z rozmaitych środowisk. Wypada nam jeszcze rozpatrzyć dokładniej problem „petainizmu", znany u nas dość jednostronnie, a wyjaśniający niejedną zagadkę pozostającą w związku z ostatnimi wydarzeniami. Doskonale charakteryzuje okres Vichy płk. Roulier, wybitny działacz Ruchu Oporu (pseud. Rémp). W styczniu 1947 r. umieścił on na łamach tygodnika „Carrefour" artykuł opatrzony energicznym tytułem „Mamy tego dosyć"...

Roulier pisze z pasją o zamaskowanych kolaboratorach najgorszego autoramentu, zajmujących ważne stanowiska państwowe i prowadzących dywersyjną robotę. Przytacza, wspomniane już powyżej wypadki umyślnego prześladowania zasłużonych patriotów. Zamieszczony przez nas fragment uderza trafnością przewidywania.

„Cierpliwość i tolerancja jaką im bez przerwy okazujemy (mowa o zakamuflowanych kolaboratorach — I.A.G.) wydają im się objawem naszego strachu a nawet wyrzutów sumienia.

Na początku przezornie ukryci w swych norach ośmielali się wyrażać swe krytyki jedynie ostrożnym i perfidnym szeptem, a oto teraz nabrali pewności siebie. Cóż mówią? Stali się arogancy, zuchwali wprost agresywni. **Zobaczycie moi towarzysze: jeśli zaniedbamy koniecznych ostrożności, wkrótce zażądają od nas rachunku.** Kim są właściwie ci ludzie? Znajdujemy ich pośród tych, którzy podążyli za „marszałkiem".

Istniały dwa sposoby podążania za Petainem. Pierwszy, szlachetny i prawy, zastosowali liczni Francuzi pomiędzy którymi mam po dziś dzień wielu przyjaciół cieszących się stale mym wysokim poważaniem. W rzeczywistości chodziło tu o niezaprzeczalnych patriotów, niezdolnych pomyśleć, że starzec z Vichy prowadzi inną grę niż tą co polega na uratowaniu wszystkiego, co da się ratować po to, aby pewnego dnia wydać im rozkaz wymarszu na nieprzyjaciela. Tym to Francuzom Petain prawił w zaufaniu „Razem wejdziemy do Metzu. Trzeba było dopiero zaboru t. zw. „wolnej" strefy aby otworzyć oczy tym Francuzom dobrej woli, ale prostego serca. Odtąd potrafili nam oni pokazać na polach bitew Tunisu, Włoch, Francji, Alzacji, Niemiec i gdzieindziej, że zrozumieli... Oślepieni przez chwilę, wrócili jednak do nas.

Istniał jednak i inny sposób...

Polegał on na tym by „dążyć za marszałkiem" w celu łatwiejszego uzyskania prebend i synekur, aby zaspokoić stare urazy lub, jeszcze prościej, aby w ukryciu za ugwieżdżonym parawanem *) oddać się bezczynności i oczekiwaniu na przyszłość nie połączonym z żadnym ryzykiem. Obawiano się tam możliwych zmian sytuacji wojennej, zabezpieczano więc tyły. W dzień dostarczano wrogowi kilku dwuznacznych dowodów życzliwości, wieczorem przy zasuniętych storach słuchano Londynu, obliczając zyski całego dnia.

Dla tych przezornych umysłów „marszałek" stanowił alibi, po którego stracie nie mogą się pocieszyć. Zawsze pielęgnowali w sobie nadzieję na jakieś porozumienie zawarte w ostatniej chwili między de Gaullem a Petainem. Petain oddający władzę de Gaulle'owi pod Łukiem Triumfalnym w dzień wyzwolenia Paryża — jakiż to piękny obraz dla potomności. Klęska Niemiec stała się jednocześnie klęską zdrady i oportunizmu we Francji, przyniosła porażkę, hańbę ludziom małego ducha. Przezorność o jakiej pisze Rémy okazała się nader przydatna. Dzięki niej pozostali na wolności, zachowali wpływowe stanowiska i mogli dać upust swej nienawiści do tych, którzy walczyli nie szczędząc mienia ani życia. To była starcza nienawiść zbankrutowanych kombinatorów do ofiarnej młodzieży, czyniącej wszystko w imię wolności i honoru. Dlatego Rémy pisze z goryczą „Dla nikogo nie jest tajemnicą, że „Wolni Francuzi", którzy pierwsi podjęli otwartą walkę, szukając możliwości pracy zarobkowej, wolą często nie przypinać swej odznaki. Ten okryty chwałą emblemat jest źle widziany przez ludzi, którzy w okresie okupacji utrzymali się na swych stanowiskach zachowując wszelkie przywileje".

Obecnie ta sama klika zawodowych zdrajców, postanowiła zagrać va banque i pokusić się o zdobycze władzy. Z właściwą sobie perfidią wybrali ex-vichyści i ich poplecznicy moment dla Francji wprost katastrofalny. Dla własnych, sobie tylko wiadomych korzyści, pragnęli obalić Republikę. Jakie były ich dalsze plany — dotąd nie ujawniono.

Zamach stanu nie miał jednak żadnych szans powodzenia. Nawet bowiem w wypadku opanowania stolicy — sukces okazałby się bardzo nietrwały. Spiskowcy nie uzyskaliby poparcia w społeczeństwie — wręcz przeciwnie spotkaliby się z gwałtownym odruchem całego narodu, wszystkich ugrupowań, poczynając od komunistów a kończąc na katolikach.

Absurdalne wydają się podejrzenia skierowane w stronę gen. de Gaulle'a imputujące mu jakąkolwiek łączność ze spiskowcami. Któż nie pamięta jak gwałtownie zwalczało de Gaulle'a Vichy, starając się podkopać jego pozycję przy pomocy intryg prowadzonych w Stanach Zjednoczonych. Przecież nawet czynniki francuskie przeciwne Niemcom a wywodzące się ze sfer konserwatywnych czyniły wszystko aby go obalić. Przypomnijmy sobie tylko wypadki w Afryce Północnej w 1942 i dwuletnie blisko tarcia z gen. Giraud. De Gaulle uważany przez francuskich obskurantów za prawie komunistę został teraz z kolei przez lewicę okrzyknięty faszystą. Niezbyt to wszystko wydaje się logiczne.... Nie trzeba jednak zapominać, że politycy często korzystają z płaszczyzny prawnej dla przeprowadzenia swych własnych celów. Niejednokrotnie służą im nawet sprawiedliwie. Stąd zarzuty zdrady bywają nie tylko funkcją troski o państwo, ale narzędziem pozbycia się przeciwnika.

Niewątpliwie najbliższe tygodnie przyniosą nam dokładniejsze wyniki śledztwa toczącego się w sprawie spisku. Wówczas odsłonią się kulisy projektowanego zamachu stanu, ujawniając szereg nowych osobistości z pod znaku „francisque".

Przedstawiliśmy powyżej najciemniejsze strony życia państwowego we Francji. Zdaje się, że taraz dopiero oczyści się powietrze nad Sekwaną z miazmatu V kolumny. Przysłowie francuskie powiada: „Mieux vaut tard que jamais", tym niemniej żywa działalność niedobitków „La Cagoule" „Action Francaise" itp. organizacyj w r. 1947 ma posmak niezdrowego anachronizmu. Miejmy nadzieję, że wykryty spisek będzie ostatnim.

*) Marszałek Francji nosi na każdym rękawie 7 gwiazdek.

W świecie...

KONFERENCJA PARYSKA

Różnica zdań jaka zaznaczyła się na odbytej niedawno konferencji ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Francji i Z.S.R.R., zaważyły na losach świeżo zwołanej konferencji międzynarodowej, w której miało wziąść udział 22 państwa. Wszystkie państwa Europy wschodniej podzieliły stanowisko Rosji nie przyjmując zaproszenia do Paryża. Czechosłowacja początkowo zgodziła się na wysłanie swych przedstawicieli na konferencję, później jednak pod wpływem odmownych odpowiedzi udzielonych przez jej najbliższych sojuszników odwołała swą pierwotną decyzję. Z państw, które będą reprezentowane w Paryżu: Szwajcaria i kraje skandynawskie wyraziły szereg zastrzeżeń, dotyczących ich ewentualnej współpracy nad realizacją planu Marshall'a, a mianowicie odgrodziły się stanowczo od wszelkich koncepcji zmierzających do stworzenia Bloku Zachodniego. Szwajcaria zaś zastrzegła sobie ponadto prawo zawierania umów handlowych z wszystkimi krajami (a więc i tymi, które nie biorą udziału w konferencji paryskiej. Tak więc Europa podzieliła się w chwili obecnej na dwa obozy, wyraźniej jeszcze niż miało to miejsce dotychczas. Przypuszczalnie na konferencji paryskiej będziemy świadkami wysiłków brytyjskich, zdążających w kierunku stormowania bloku państw zachodnich.

Negatywne odpowiedzi państw Europy Wschodniej (między innymi i Polski) powołują się kilkakrotnie na postanowienia Karty Narodów Zjednoczonych. Zdaje się, że w pewnym związku z tym faktem pozostaje rezolucja wniesiona na posiedzeniu senatu St. Zjednoczonych, a domagająca się rewizji Karty.

KONFLIKT WEWNĘTRZNY W GRECJI

Bardzo dziwny obrót przybrały, ostatnio sprawy greckie. Zacieśniły się stosunki pomiędzy rządem Maximosa, a Stanami Zjednoczonymi. Min. Tsaldaris bawił obecnie w Waszyngtonie, gdzie konferował z min. Marshall'em. Jednocześnie przybył do Grecji szef amerykańskiej misji pomocy Griswold. W tym samym czasie odkryto spisek antyrządowy dokonując masowych aresztowań. Oryginalnie brzmi przytem oświadczenie Maximosa stwierdzające, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania nie wysunęły żadnych zastrzeżeń w związku z falą aresztowań. Tak więc Anglosasi zupełnie oficjalnie już popierają rząd Maximosa. Należy się spodziewać, że prześladowane partie opozycyjne podejmą kontrakcję na większą skalę, organizując otwarty opór. W Grecji mówi się obecnie o stworzeniu koalicyjnego rządu lewicy.

DELEGACJA CZECHOSŁOWACKA W MOSKWIE

W tym samym czasie kiedy Anglosasi montują w Paryżu blok zachodni, poszczególne państwa Europy Wschodniej zacieśniają swą wzajemną współpracę. Wyrazem tych dążeń jest przybycie do Moskwy delegacji czechosłowackiej z premierem Gotwaldem na czele. Sieć sojuszy nawiązujących się pomiędzy krajami słowiańskimi stanie się niewątpliwie ważnym czynnikiem w zwalczaniu planów politycznej odbudowy Niemiec, jakie być może powstaną w Paryżu.

Czytajcie „SŁOWO POWSZECHNE"

Eugeniusz Paukszta

„U SOŁTYSA“

Fragment powieści „Trud Ziemi Nowej“

BŁOGOSŁAWILI LUDZIE zimę tego roku. Piękna bo była. Styczeń miał się już ku końcowi, a mrozów większych dotąd nie zesłał Bóg Miłościwy na ziemię. Jakby litował się nad biedą i niedolą ludzką. Bo to i z jedzeniem i z opałem nie było w wielu domach najlepiej. A tak, łatwiej było przetrzymać.

Słońce dopiero wschodziło. Śnieg, leżący równą warstwą na płaszczyźnie pola skrzył się zlekka błękitnawym odcieniem. Nad rzeczką, skutą powłoką lodową podnosił się zwiewny, lekki pas oparów.

Na niedalekim moście pod laskiem zabrzęczały dzwonki sań i zazgrzytały płozy o wyczyszczone od śniegu deski. Na hałas ten porwały się z krakaniem wrony, koczujące na grupie starych, rozłożystych lip, rosnących opodal domu, z którego komina wznosić się zaczęło równiutko w górę wąskie pasemko dymu.

Potem znów cisza nastała w powietrzu. Przyroda budziła się dopiero do życia. Za nią świat ludzki.

Zygmunt sprawdził raz jeszcze zaprząg, podciągnął mocniej chomąto u szyi konia, a potem zeszedł z wiadrem ku studni. Kasztan pił wodę spokojnie, powoli, jakby delektując się jej rzeźkim, źródlanym smakiem. Zygmunt gładził konia pieszczotliwie, łagodnie. Ten zaś drżał lekko pod tym dotknięciem.

Wiadro było puste.

Cmoknął na konia, sam podbiegł parę kroków obok, a potem skoczył z rozmachem w biegu. Płozy lekko, ze skrzypem sunęły po śniegu.

Dojeżdżając do zagajnika, zwolnił na stępa, po chwili zatrzymał konia. Coś go kusiło, aby wejść w gęsty, młody jedliniak. Gałęzie osypane lekko śniegiem, stawiały miękki opór, gdy przedzierał się wgłąb. Rozchylił je raz jeszcze i znalazł się na małej, leśnej polanie. Pośrodku bielił się samotny pień brzozy. Oczy Zygmunta pobiegły na drugą stronę polanki. Zadrżał. Do pół osłonięta rozłożystą choiną, stała młoda sarna, patrząc na niego wilgotnymi oczyma. Po chwili bezszelestnie znikła.

Nasuwało mu się nieodparcie wspomnienie takiego samego obrazu z przed paru miesięcy. Taka sama polana w gąszczu jedliniaka, samotny, biały pień brzozy i ta sarna, patrząca tak dobrotliwie, łagodnie. Tylko, że wtedy nie miał na sobie kożucha, a ziemia nie była pokryta białą warstwą śniegu, lecz mieniła się całą gamą kolorów od rudej zieleni trawy poprzez żółty aż do szkarłatno - czerwonych odcieni opadłych, delikatnych listków brzozy.

Tak, to było jeszcze w Marcinkańcach, w pamiętny listopadowy ranek przed odjazdem. Na myśl wróciło wspomnienie wylanych wtedy łez serdecznych żalu i budzącej się już naprzód tęsknoty. Pożegnanie serdecznego, łagodnego chłodem pnia brzozowego, kojącego żar rozpalonego czoła.

Potem długa wędrówka pociągiem. Rozładowanie transportu na stacji w pobliskim miasteczku. Długi, uciążliwy pobyt w barakach. Święta w ogólnej sali, w jednej wielkiej repatrianckiej rodzinie. I wreszcie po mozołach wynaleziona od dwu tygodni ta gospodarka, tak wiele wyglądem swym przypominająca opuszczoną zagrodę w Marcinkańcach.

Choćby ten zagajnik, brzoza samotna na polanie. I jeszcze sarna taka sama i tak samo w dodatku.

Nowa fala wspomnień zalała mu serce. Nie chciał się im poddawać, walczył usilnie, lecz one wracały. Rzadziej może niż przedtem, bo myśl absorbowała wytężona, usilna praca, ale zawsze tak samo bolesna, krzywdząca. Szarpał się z nimi bardziej niż kto inny i mocniej też od innych je przeżywał. Nie wiedział czemu. Nie umiał sobie wytłumaczyć.

Ojciec naprzykład. Ten wydawał się, jakby już pogodzony z losem. Troską jego główną było uprzednio otrzymać odpowiednią gospodarkę, teraz wyremontować wszelkie zniszczenia, by jak najprędzej rozpocząć normalne życie. Chwilami zdawało się jakoby i nie pamiętał. W każdym razie umiał ukryć swe uczucia przed ciekawością innych.

On, Zygmunt tak nie potrafił. Co miał w sercu, to można było łacno wyczytać mu z twarzy. Szczególnie w pociągu i w baraku nie był podobny do siebie. Teraz wracała mu trochę jaka taka równowaga duchowa. Robiła to praca. Jej się też cały oddawał, nie odstając od świtu do zmroku ani na chwilę. A i w domu do późna wieczór tynkował osypane ściany, bielił, malował, dłubał coś przy warsztacie stolarskim, że aż się ludziska dziwili, jak to u nich prędko wszystko do ładu powraca.

Znużyło go teraz to myślenie. Zaciął kasztana. Sanie szybko poślizgiwały się po ubitej drodze. Mijał teraz jedną kolonię za drugą. Wszędzie budziło się już życie. Przed którymś domem zobaczył kowala. Ten kiwał na niego ręką. Zatrzymał sanie.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki. Dokąd to, czy nie do sołtysa na zbiórkę? To się przysiądę za pozwoleniem. Co nogi mam po próżnicy targać.

Zygmunt przesunął się na siedzeniu. Uścisnęli sobie ręce.

— Proszę. Dawnośmy się nie widzieli.

Cmoknął na konia. Zabrzęczały dzwonki. Ruszyli pędem, bo droga zniżała się teraz w kotlinę.

— Roboty teraz pełne ręce, że ani się uprawić. I choć to niedaleko, wiorsta niecała, a i czasu brak, by się wybrać. Chciałem w niedzielę, ale szwagier przyjechał z żoną z pod Olsztyna odwiedzić. Dobrze im się tam powodzi. Młyn dzierżawi od państwa, ma go nadzieję uzyskać na własność za swój, w Oszmiańskiem zostawiony. Prawdę mówiąc, to ten dwakroć większy i bogatszy. Reśnie siostrunia w pierze. Mówię wam, że sadełko na niej to z dnia na dzień grubieje.' Ażem jej nie poznał, jak mi we drzwi wejść z grubości nie chciała.

I zarechotał po swojemu. Zygmunt też uśmiechnął się szczerze. Towarzystwo kowala lubił szczególnie. Poczciwy to był człek, pracowity, zawsze wesoły i zadowolony ze świata i siebie, a przytem rozumu mu też nie brakowało. Ocho.

Tamten zaś ciągnął dalej.

— A ja to tak na dwa fronty. I w kuźni muszę pracować, bo przecie na życie trzeba coś zarobić, i w obejściu jest pełno do zrobienia. Ze mnie też teraz pan całą gębą. Miałem to dawniej jeno ten zagon ziemi, co pod oknem. Trzy metry wzdłuż, a półtora wszerz. Tyle tylko, co tabaki na tydzień kurzenia posadzić. Teraz to i kuźnia i dom jak się patrzy, że mi dzieciska jak się po nim porozłażą, to ani się doszukać. No i te dwa hektary ziemi w przydatku, też przecie coś znaczą.

— Budynki toście mieli zdaje się nie w porządku?

— Kuźnia była zawalona prawie zupełnie. Wydałem na jej postawienie dużo. Robotnik drogi, a samemu ciężko. Jeszcze i to, że kobiety brakuje, nieraz i za babską gospodarkę trzeba się chwycić. A tu to ja nieporęczny.

I zarechotał znowu po swojemu. Zygmunt pomyślał, że śmiesznie musi to olbrzymie chłopisko przy jakimś tam garnku, czy przy sprzątaniu wyglądać i też go śmiech porwał serdeczny. Śmiali się obaj tak szczerze, że nie tylko ludziska się oglądali za nimi, ale nawet i zdziwiony kasztan odwrócił głowę, pragnąc dojrzeć, co tam jego pasażerom się stało.

Chodziły po gromadzie słuchy, że kowal ma się poważnie do wdowy po Walentym, Woźnicki zagadnął więc dyskretnie sąsiada.

— A nie wiecie, co tam u Walentynowej słychać?

Ten w odpowiedzi zarechotał znów po swojemu, aż kasztan w podziwianiu wstrząsnął kilkakroć głową, a dzwonki u szyi rozdzwoniły donośniej.

— Zaś bym nie wiedział. To też robota, czasem wymaga—co parę dni bywam w miasteczku, gdzie z dzieckiem zamieszkała. Bo tak sobie miarkuję, że przyjdzie się chyba znów do kościoła udać. Nic na to nie poradzi. U mnie sześć dzieciaków, tam jedno, razem siedem. A żona młoda, a i ja też nie taki stary, to może się tam jeszcze drugie tyle i zmajstruje, ludziom na podziw, sobie na zmartwienie.

I aż się pokładał z własnego konceptu. Niemniej wesoło było i Zygmuntowi.

Tak sobie pogadując ani się spostrzegli jak dojechali pod dom sołtysa.

Funkcję tę piastował od miesiąca repatriant zabużański, Damięcki, stary gospodarz i rybak zarazem z nad Niemna, z podgrodzieńskiej okolicy. Wytrawny to i doświadczony był człek. Dawniejszymi laty nie rok i nie dwa, ale coś ponad dziesięć bezmała gromadą skutecznie zarządzał, a dowodem uczciwości i szczerej troski o tych, którzy go zaszczycili wyborem gromadzkim, było, że przez czas ten ani się nie dorobił nawet, gdy inni zaraz na pokątnych kombinacjach a szacherkach wszelkich, gęsto obrastali w piórka. Damięcki tracił raczej na sołtysim urzędzie. Szczerze a gorąco zajęty bowiem ogólną sprawą, zaniedbywał częstokroć własne interesa, bo i na rybne połowy rzadziej wyjeżdżał, i sadem czy ulubionymi pszczołami nie miał się czasu dosyta zajmować. Utyskiwała mu na to żona, furczała potrochu i córka jedyna, wystrojona pannica, która po ojcu odziedziczyła chyba wzrost tylko, bo z rozumem jak znajomi twierdzili mocno coś było nietęgo.

Dlatego za nic nie chciała się zgodzić na nowe sołtysostwo, a jeszcze w takim niespokojnym czasie, gdy co krok kłótnie ludzie wiedli o ziemię, gdy Niemców huk jeszcze było na terenie gromady, a różne szabrowniki, złodzieje i koniokrady hordami napastowali spokojną mazurską ziemię, szczególną krzywdę czyniąc Mazurom, ostatnim polskim niedobitkom, wytrwałym przy swojej wierze i mowie pod niemiecką siłą.

Długo go prosili i błagali niemal. Bo gdy tyle trosk z każdej strony na gromadę się waliło, trza było za wszelką cenę mieć sołtysa swojego, nie szelmę jakiegoś a rabuśnika. Ot jakby dla przykładu i ten ostatni rodem gdzieś z pod Warszawy, z którym walkę tu długą a zażartą toczyć musiano. Wiele to podpisów przeciw niemu złożono, wiele petycyj, opisujących dokładnie krzywdy, jakie ludności wyrządzał, a zawdy władze jego tylko słowo brały w uwagę. Nawet odznaczenie jakieś tam dostał. Różnie ludziska na ten temat wtedy gadali. Że to niby partia któraś go wspiera, a że starosta ponoć był jego krewniakiem, a to jeszcze i tamto.

Aż go raz wreszcie na rabunku z bandą milicja złapała. Tym razem miarka się przebrała i powędrował, pan sołtys, ku uciesze, a uldze swojej okolicy. Już mu i partia nawet pomóc nie chciała.

Co więc dziwnego, że ludzie bali się, by, strzeż Boże, drugiego takiego „społecznika“ a „upioniera“ nie dostać do gromady. Opierał się Damięcki, opierał, ale wreszcie raz musiał był się zgodzić. Wybierał się na swoje sołtysostwo jak na krzyżową drogę, specjalnie na tę intencje do Komunii św. nawet przystąpił, jako że człek był pobożny i niebieskiej pomocy zawsze ufny. I tak od miesiąca już ku zadowoleniu wszystkich, urzędowanie swoje prowadził.

Ciężka to była praca. Władza polska dopiero się gruntowała na tych terenach, administracja nie działała dość sprawnie, bandytyzm był na porządku dziennym, a życie jakby dla utrudnienia, wysuwało coraz to szereg nowych a niecierpiących zwłoki spraw. Damięcki nie lubił działać sam, zawsze chciał zasięgnąć we wszystkim zdania i opinii gromady, usłyszeć ludzkie życzenia i żale, podać do wiadomości nowe rozporządzenia. A tych było najwięcej. Starostwo do gminy, ta zaś do gromady przysyłał coraz to nowe stosy papierów, różnych mądrych ustaw i zleceń, aż biedny starowina do późna nieraz w nocy czas trawił, chcąc je przewertować i zrozumieć, i ino ocierał co chwila zapocone okulary.

Nie lubił ludzi zwoływać na darmo, by drogocenny czas zabierać, a biedotę na chłód i zmęczenie drogą narażać, ale niekiedy wypadało zwołać zbiórki, by rzeczy ważne wspólnie omówić. Ot i dzisiaj na ósmą zebrał co światlejszych obywateli na takie zebranie.

Ludzi przed domem, w obszernej izbie sołtysowskiej, było już wielu. Większość przyszła pieszo, bo albo konie i tak mieli robotą zdrożone, a z poszorem sprawa wyglądała częstokroć tragicznie, więc spracowane, zgłodzone szkapiny ledwo robiły bokami, albo i to najczęściej, w ogóle koni nie posiadali. Ale stało też przed domem na obszernym dziedzińcu i kilkanaście sani, przeważnie repatriantów z za Buga.

Konie parowały teraz po jeździe, okryte kocami i głodne, chciwie przeżuwały sieczkę z zawieszonych na szyi worków. Typowe dla wsi polskich na Wileńszczyźnie dzwoneczki zawieszone u szyi, pobrzękiwały wesoło w jasnym blasku mroźnego poranku. Szczególnie rade tej całej wizycie były stada wróbli, wiercące się z zapałem a poćwierkiwaniem zaambarasowanym koło końskich ogonów.

Zygmunt i kowal witali się ze znajomymi, a widząc, że jeszcze zebranie się nie zaczęło, skręcili papierosa, przystając dla pogawędki w gromadce mężczyzn, tarasujących wejście do ganku. Jak zawsze, rozmowa zeszła na gospodarskie kłopoty. A było ich nie mało. Zima, choć szczęśliwie niemroźna, ciężka była do przeżycia dla ludzi, w czasie jej trwania na nowe bytowanie przerzuconych. Tym cięższa, że nie spełnione zostały obietnice zabezpieczenia poszoru, ziarna i kartofli na zimę i przednówek. Przyszło się radzić samemu. A tu nie wiedzieć było, i z czego Dobrze, jak miał tam który jedną czy drugą pięciorublówkę złotą „z Mikołajem“ w ubranie pod guzik czy w kołnierz gdzieś zaszytą. Puszczał ją wtedy gdzieś pocichu w spekulanckie ręce i ze zdobytym groszem łacniej mógł zimę jakoś przebiedować. Ale takich zasobnych było nie wielu. Reszta musiała inaczej sobie dawać radę.

Lepiej o wiele mieli się ci, co tu przyjechali jeszcze latem ubiegłego roku. Ci otrzymali i gospodarki zasobniejsze i jakie takie przydziały poszoru czy ziarna ze skromnych gminnych zapasów, no i mieli czas zebrać cokolwiek z pól, niemiecką jeszcze ręką obsianych czy zasadzonych Niektórzy, szczególnie o licznych rodzinach, napełnili zasieki i stodoły tak pełno, jak nigdy jeszcze może w życiu.

Ale takich szczęśliwców było niewielu. Repatriantów zabużańskich wśród nich ze trzech zaledwie. Reszta, to osadnicy z Polski centralnej, głównie z północnych powiatów warszawskiego i białostoczyzny. O nich to teraz i była mowa.

Siwy Hryćko, starowina ponad siedemdziesięcioletni, ale krzepki jeszcze tak, że niejednego w pół młodszego od siebie w kozi róg przy robocie zapędził, pociągając jakąś smrodliwą machorkę z krótkiego cybuszka, perorował z wielkim wzburzeniem na pomarszczonej niebywale twarzy:

— Po chrześcijańsku mu tłumaczę, że oddam, niech no tylko sianokosu doczekamy, a nie, to i mlekiem będę wypłacał po trochu. To mię ino wyśmiał i od durniów starych zwymyślał. Gdzie to kto widział — mówi — żeby czysty pieniądz komu w rękę za darmo dawać. A jeszcze jakiemu to przybłędzie z Wilna. Nie lepiej mnie to na rynku siano sprzedać, jeszcze wódki na dokładkę popić jak się należy, a z dziewuszyskami pohulać, niźli tam w sąsiedzkie przyjaźni się bawić, pożyczki udzielać.

Hryćko trząsł się poprostu z oburzenia i żalu. Ciężkie mu było to wspomnienie ludzkiej nieuczynności i chamstwa.

— Wspomniałem — ciągnął — że jak mu żonka bolała, to ja swą córkę zaraz na pomoc posłałem. Ze dwie niedziele blisko przy niej krokiem sie działa, jako że znajoma pielęgniarstwa. Przecie nie za pieniądze to robiło się, a prosto z ludzkiego serca. No i co miałem w końcu robić. Trzeba było jedną krowinę sprzedać, by za te pieniądze jakoś resztę chudoby przekarmić. A u niego przecie siana to tyle, że i na trzy lata starczyłoby. Niemców dużo jeszcze tu było, jak przyszedł, to mu pracowali, jak i wiele tylko chciał.

— Co prawda to prawda — przytwierdził Spirczak z nad potoku za lasem — z tymi osadnikami to trudna sprawa. Jeden w jednego takie to nieużyte a nieżyczliwe, tylko patrzy, gdzieby tu kogoś ocyganić a okraść. Ani to koło obejścia co robią, ani w polu przygotowali jesienią, myszkują tylko od niezajętej zagrody jednej do drugiej i ściągają dobytek poniemiecki do siebie. Pozawalali domy po wierzch wszelkim dobrem.

— U nas zboża na chleb nie ma i na zasiew wiosenny, a dziesiątki centnarów na samogon pędzą. Bimber on u nich nazywa się. Co święto, to goście do nich kupą zjeżdżają zdaleka, piją do nieprzytomności, a potem wiozą całe walizy różności z powrotem. A wiele to jeszcze szkody a zgryzot ludziom narobią. Dziewczęta nasze zaczepiają po pijanemu, awantur szukają, nie dalej jak trzy dni temu, u tego Ambroniewicza w Wilkasach tak się napili, że potem poszli podpalać zagrody poniemieckie. I spalili jedną, tą, co to właśnie dostał na przydział i miał się tem! dniami sprowadzić jakiś rolnik z pod Nowogródka. Strach pomyśleć, co się dzieje — wydziwiał inny.

— Bo to i zjechała tu na początku sama hołota. Tam mają też gospodarstwa, a tu łatwych zarobków szukają. Wielu to z nich, wywróższy wszystko co się dało, wróciło do siebie z powrotem, gdzieś tam pod Warszawę. A tego co zmarnowali, to tak łatwo nie odrobi się teraz. Ale już zaczynają robić z nimi pomału porządek. Tego Ambroniewicza, coście to mówili, aresztowali razem z gośćmi za podpalenie. Dostaną za swoje — ciągnął dalej Spirczak.

Wmieszał się do rozmowy i Filip czak. Lubił zawsze stawać nasze-

---

Powieść red. Eugeniusza Paukszty z Poznania, pt. „TRUD ZIEMI NOWEJ“, opisująca dzieje pierwszych miesięcy repatriacji ze wschodu i osadnictwa na Ziemiach Odzyskanych ukaże się niedługo w wydaniu książkowym.

kór, ot tak dla przekory chociażby Insza sprawa, że nie pytlował językiem, jeżeli nie miał oparcia o konkretne fakty.

— A ja to ot ostatnio dwa dni pociłem się u takiego Warszawiaka, co to grunta dostał nieopodal ode mnie. Porządny człowiek, sumienny, pracowity, ot i uczynny. Jakem kuźnię stawiał, sam przyszedł mi pomagać z dobrej woli. Inny on zupełnie od tych wszystkich. Ale zato w dziurawych gaciach chodzi, jako i my Trzeba zaś wiedzieć, jak on pomstuje na tych swoich kompanów. Niegorzej od was. Szkoda, że dzisiaj go nie ma, bo zachorował. Nie od wódki, bo wcale nie pije, a od przepracowania.

— Pewnie, pewnie, są dobrzy ludzie i między osadnikami — godził się z kowalem Spirczak.

Inni mu też przytakiwali.

Tylko Hryćko nie mógł się żadną miarą dopatrzyć w żadnym z tych osadników porządnego człowieka. Zbyt mocno dotknęły go ostatnie przejścia, by mógł się zdobyć na obiektywizm. Trząsł więc tylko nerwowo głową, pykał pośpiesznie ze swego cybuszka, a mruczał nieprzyzwoicie jakoś z ruska pod nosem.

Na ganek wyszedł sołtys zapraszając wszystkich do wnętrza.

— Już późno, a każdemu śpieszno. Prędzej zaczniemy, to prędzej skończymy.

Stłoczyli się we drzwiach, stąd wchodzili do obszernej izby, pełnej już dymu machorkowego i błota od źle wytartych ze śniegu nóg.

Damięcki zasiadł za stołem, uroczystym ruchem przetarł chusteczką, rozmiarów prześcieradła, swe okulary, włożył je, rozejrzał jeszcze bacznie po sali, poczem powstał ze słowami.

— Niech będzie pochwalony —

— Na wieki wieków — odrzekli chórem.

Sołtys usiadł, otworzył jakąś książkę, przerzucił akta i wyciągnął stamtąd spięty razem plik papierów. Zaczem przemówił, zaglądając do wyjętych papierzysk: —

— Zebraliśmy się razem, by omówić wiele ważnych, a wspólnego dobra naszego tyczących spraw. Pierwsza to będzie o wysiedlaniu Niemców i we — we — zaciągnął się chwilę, wreszcie odczytał — weryfikacji ludności miejscowej pochodzenia polskiego.

— Otóż w najbliższym czasie rozpocznie się wysiedlanie Niemców z okręgu olsztyńskiego. Nie może zostać ani jeden Niemiec na polskiej ziemi, dlatego potrzeba do tej akcji współpracy całego społeczeństwa, żeby nie dopuścić do zachowania się i ukrycia chociaż jednego Niemca. Ale z drugiej strony znajduje się tutaj dużo miejscowej ludności polskiej, która częściowo zgermanizowana, pozostała jednak wierną Polsce, a nie uzyskała dotychczas zaświadczeń narodowości polskiej. Dla tej ludności działają specjalne komisje weryfikacyjne, które badają sprawę przynależności do narodu polskiego. Trzeba, ażeby cała rdzenna ludność Mazurów jak najprędzej poddała się weryfikacji.

— Sprawa druga łączy się bardzo blisko z pierwszą. Chodzi mianowicie o przyznanie prawa własności naszej do przydzielonych gospodarstw. Dotąd otrzymaliśmy je tylko od państwa w dzierżawę. Otóż prawa własności nie otrzymamy, dopóki nie zostanie zakończona ostatecznie akcja weryfikacji. I tak bowiem zaszło już sporo wypadków przydzielenia repatriantom gospodarstw, będących własnością Polaków, co prowadzi do sporów, kosztów przeprowadzki i tak dalej. Teraz jest jasne, że gospodarstwo Mazura musi repatriant opuścić, przenosząc się na wyznaczony mu inny obiekt rolny.

U W A G A!!!

OSTATNIA NOWOŚĆ

ukazało się II wydanie

K S I Ą Ż K I

W. Okońskiego

WIELKA TAJEMNICA

Książka - Rewelacja!
Cena: 200 zł. + koszty przesyłki
Książka, którą musi przeczytać
k a ż d y chłopiec i młodzieniec;
k a ż d y ojciec i wychowawca.
Z a m ó w i e n i a: Warszawa 12, skrzynka pocztowa 40. Towarzystwo Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.
K s i ą g a r n i o m r a b a t

Nik Rostworowski

SCHERZO

Brązowy rzut stulonych ramion
tak nieomylnie fale nagli,
że wiem: Te dłonie wiosłom kłamią
i płoszą śnieżny spokój żagli.

Wargom szkarłatnym od porzeczek
szczędząc muśnięcia wodnych stu farb,
wplątana w łatwe sprawy rzeczne
spoczywasz lekka jak nenufar.

U rzęs twych smagła panno wodna
czas sekundami kropel stanął.
Pęcznieje lipcem i pogodą
szelestny bezruch kopic siana.

Zawarty szczelnie tamten pejzaż
wróżbitom chmur radioaktywnych.
Powieki ciążą lecz to nie łza
ale umarłych miast ruiny.

Która każdego popołudnia
niewolisz fale, chciej doradzić
jak chronić mam sentyment trudny
czasowi wbrew i wbrew zagładzie?

Bym od złorzeczeń zetlałymi
wargami tropił ślad stóp mokrych
w piasku lipcowym. Aby i mnie
Warty błękitny objął nokturn.

Na sali podniósł się szept, a ktoś wstał i chciał mówić, ale sołtys przerwał mu upomnieniem, że przedtem on skończy, a potem dopiero zabiorą głos inni, zaczem ciągnął dalej.

— Sprawa gospodarstw spornych musi być w najbliższych miesiącach uregulowana ostatecznie, żeby na wiosnę można było jak najwydajniej przystąpić do pracy. Niemcy natomiast, pozostający nadal wespół z osiedlonymi na ich dawnych gospodarstwach, repatriantami, będą wysiedleni. Ale do tego czasu obowiązani są pracować, jak też osadnicy nie mają prawa samowolnie ich wyrzucać.

Przerwał, odsapnął, a potem tym samym, uroczystym tonem oznajmił:

— To byłaby pierwsza część spraw, dla których zakomunikowania zwołałem was dzisiaj. Teraz można pytać. Co wiem, będę odpowiadał.

Obecni spoglądali na sołtysa z zadowoleniem. Znać starego praktyka. Niegorzej prowadzi całe zebranie, jak i który pan burmistrz czy starosta. Udał się im ten sołtys.

W izbie wszczął się tumult. Ktoś otworzył okno, bo od dymu tytoniowego było szaro zupełnie, powietrze zaś niemożliwie ciężkie i nieznośne do oddychania. Do smrodu machorkowego dochodził bowiem zapach przepoconych ciał i specyficzna woń baranich kożuchów.

Pierwszy wstał Pieciusz z pobliskiej wioski Podhajcie, którego spór z autochtonem Mazurem ciągnął się już od kilku miesięcy, a z racji swej ostrości głośny był w całej okolicy. Zaczął od razu z ostra:

— Za przeproszeniem, cała ta robota to jest jedno zawracanie głowy. Wyrzucili mnie z mojej ziemi. Dobrze. Kazali tu przyjechać. Przyjechałem jeszcze we wrześniu, jeden z pierwszych. W urzędzie powiedzieli znaleźć sobie gospodarstwo. Znalazłem, podałem im gdzie i co. Zapisali, pojechała komisja, obejrzała, sprawdziła, orzekła, że właściciel jest Niemcem i zostanie wysiedlony. Przyznali mnie gospodarstwo jako poniemieckie. Do wysiedlenia kazali z dawnym właścicielem, tym Niemcem, pracować na spółkę, na połowę. Tak i robiliśmy. Szło nam prawdę powiedziawszy, zgodnie i niezgorzej. No, ale co to taka za gospodarka we dwóch. I dwie baby w kuchni i dwóch w stajni, w stodole. Czekam ja i czekam na ten wyjazd. Tymczasem okazuje się, że tego tam Kająka zwernafikowali, czy jak i tam, i ja muszę przenosić się gdzie indziej. A moja praca, a koszta jakie włożyłem w gospodarstwo, a ziarno posiane? Kto mi to zwróci? A z tym jego polactwem to też nie wiedzieć, jak tam jest. Mówi on i żona po polsku. Najstarsze dzieci trochę też. Ale te młodsze, to dopiero teraz nauczyły się po parę słów. Teraz ja znaczy się, wyglądam jak dureń, i za przeproszeniem, miast pracować, latać muszę osmrodziwszy się po tych różnych urzędach. Cholera z takiemi porządkami.

Nie zdążył skończyć, gdy już zerwa się Walicki z tej samej wioski, wykrzykując:

— A bo to u mnie co innego. Polaki a niemieckie książki mają w domu. Hitlera podobiznę też pewno mają gdzie schowawszy. A w domu to mówię i po niemiecku i po polsku, jak się popadnie. Czemu ja, jak Polak, to innym językiem i nie gadam, jak swoim? Ale wszystko jedno, ja z tej gospodarki nie wyjdę, chyba mnie nieżywego wyniosą.

Podniósł się zgiełk, każdy dorzucał swoje:

— Jak zapytasz, to mówi, że on Mazur, a nie Polak.

— Po polsku niektórzy prawie wcale nie umieją.

— A czemu to oni tak trzymają się osobno. Ot i dzisiaj, czy jest choć jeden na zebraniu?

— Nie ma! Nie ma!

Niespodziewanie w hałas ten i rozgardiasz wpadł spokojny, ale mocny, zdecydowany głos:

— Jest. Ja jestem Polakiem stąd, miejscowy, Mazur jak mówicie.

Wszyscy z zaciekawieniem zwrócili głosy ku mówiącemu. Z tyłu, w rogu izby, stał człowiek średniego wieku, ale już mocno szpakowaty. Oczy miał jasno - niebieskie, o mocnym wyrazie, twarz dobrotliwą, a przytym stanowczą.

Kowal, który przedtem drzemał znudzony, a ocknął się dopiero na wszczęty hałas, przychylił się ku siedzącemu obok Zygmuntowi.

— Podoba się mnie chłop. To fajny musi być jakiś facet.

Ten zaś, który tyle zaciekawienia wzbudził swoją osobą, mówił teraz jędrną, ładną polszczyzną, zrzadka tylko wplatając jakieś mniej zrozumiałe słuchającym go wyrazy.

— Nazywam się Pawlicki. Mieszkam w tej wiosce za brzeźniakiem, w drugiej kolonii z rzędu. Słuchałem uważnie, coście bracia kochani, mówili. I chciałbym wam odpowiedzieć paru słowami. Nie mówię nic w swojej sprawie, bo, Matce Gietrzwałdzkiej dziękować, jakoś na mojem gospodarstwie zostałem sam i nie ma szczęśliwie żadnego sporu.

Dziwiliście się, że trzymamy się osobno. A wiecie dlaczego? Bo my boimy się ludzi. Nie was może, ale tych innych, różnych „pionierów", szabrowników i innych bandytów, co nas napadają, i krzycząc, że oni Polacy muszą się zemścić na Niemcach, rabują ostatni dobytek, często obiją, a bywały wypadki i mordu. Albo wy też, nazywacie nas Niemcami, nie chcecie zrozumieć, żeśmy tacy sami Polacy jak i wy, więc trudno się nam przy takim nastawieniu zbliżyć wzajemnie. Wolimy już być na uboczu, niż narażać się na niesprawiedliwe, krzywdzące słowa.

Dzięki błędnemu początkowemu postępowaniu władz, dzięki temu, że początkowo na urzędy dostali się ludzie nieodpowiedni, jak choćby ten sołtys poprzedni, co tylko wtedy uznawał kogoś z nas za Polaka, gdy dostał łapówkę — zostali niektórzy z was osadzeni na naszych gospodarstwach. Wam ciężko było opuszczać ziemię ojcowską. My to rozumiemy, ale to niezależne od waszej było i naszej woli. Zrozumcie więc nas, że i my nie chcemy porzucać tego kawałka ziemi po ojcach, nieraz z takim trudem utrzymanego przy Niemcach. Są wolne przecież jeszcze poniemieckie naprawdę działki. My je wam pomożemy wynaleźć, bo jako miejscowi lepiej orientujemy się w stosunkach, ale nie róbcie nam krzywdy.

Pieciusz rzucił pytanie w stronę mówiącego:

— A czy ten Kająk, gdzie ja siedzę, to też Polak?

— Na to wam mogę dokładnie odpowiedzieć, bo znam go dobrze od lat jako dobrego Polaka. On był przecie czas długi członkiem Związku Polaków w Niemczech, prenumerował naszą, prześladowaną przez Niemców gazetę „Mazura". Dopiero krótko przed wojną dla ratowania syna z więzienia, wypisał się oficjalnie ze Związku, bo to mu landrat stawiał jako warunek zwolnienia, ale do końca pomagał nam po cichu w naszej polskiej robocie. Przecie i syna mu w wojnie Niemcy zabili za „polską dywersję", jak to nazywali.

Gdzieś z drugiego końca wybuchnął Walicki.

— Gadajcie co chcecie. Czy ten mój Polak, czy nie Polak, ja gospodarki nie opuszczę. Nie trzeba jej było wtedy przydzielać!

I przecisnąwszy się przez zebranych, wyszedł, trzaskając drzwiami.

Zabrał znowu głos sołtys.

— Bardzo się cieszę, że pan przemówił, panie Pawlicki. Może to trochę pomoże, żeby wyjaśniła się sytucja. Ale teraz czas skończyć to mówienie. Niech każdy przemyśli te rzeczy, rozważy, bo po gorącości to skończy się tak, jak z Walickim, albo i jeszcze gorzej.

— Mordobiciem, po prostu powiedziawszy — dorzucił kowal.

Śmiech, jakim przyjęto te słowa, rozładował trochę ciężki nastrój, jaki opanował zebranych. Konflikty były bowiem nieprzyjemne, a przy ich tak trudnym życiu zgoła niepotrzebne.

Sołtys prowadził zebranie dalej.

— Drugą ważną nowiną, tym razem już bardzo przyjemną, którą wam chciałem zakomunikować, jest to, że na terenie naszej gromady powstaje szkoła powszechna i za dwa tygodnie mają zacząć się lekcje. Późno już, co prawda, ale lepiej teraz, niż żeby miał się cały rok dla dzieci zmarnować. Kierownikiem szkoły został mianowany nauczyciel Gąsowski.

Na dźwięk znajomego, lubianego nazwiska, Zygmunt, kowal i całe grono innych, z Oszmiańszczyzny się wywodzących, głośno objawiło swą radość. Mogli już nie mieć troski o swoje dzieci. On się nimi już dobrze zaopiekuje. A i starszym dopomoże, poradzi, nauczy, jak to przedtem był robił.

Nie lubił sołtys, gdy mu przerywano, uciszył więc zebranych i ciągnął:

— Na budynek szkolny wyznaczony został dom zaraz za kotliną, niedaleko od kowala Filipczaka. Remont tam już zaczęto, w tym tygodniu powinien być skończony.

Spisy dzieci już podałem, ale dla przyśpieszenia sprawy potrzeba, żeby w najbliższych dniach matki zgłosiły się z dziećmi do kierownika, który do pierwszej po południu będzie przyjmował w kancelarii, na dole. Zaznaczam, że nauka w szkole jest obowiązkowa.

Z satysfakcją spoglądał na zebranych. I jego, sołtysa, po części staraniom trzeba przypisać fakt, że szkoła powstała. I on jest też sprawcą tego zadowolenia, jakie widział na twarzach.

Zwrócił się jeszcze do obecnych z zapytaniem, czy kto ma inne sprawy do poruszenia. Padły pytania, czy odpowiedź na podanie gromady w sprawie przydziału poszoru dla głodującego bydła już nadeszła. Niestety, nie mógł tu sołtys udzielić pomyślnej odpowiedzi. Wywołało to oburzenie i zniechęcenie ogólne.

— Plakatów o zagospodarowaniu Ziem Odzyskanych to narozwieszali na każdej ścianie. Ale jak tu gospodarować, kiedy trzeba będzie bydło rżnąć, albo sprzedawać, bo nie ma czym karmić. Już za cenę tych plakatów możnaby napewno jedną gromadę zaspokoić.

— Gadania to dużo, ale troski o biednego człowieka nie widać.

Podobny oddźwięk wywołała wiadomość, że starania o przydzielenie lekarza na teren gminy, albo przynajmniej utworzenia jakiegoś punktu zdrowia, nie odniosły żadnego skutku.

Powoli rozchodzili się zebrani do domów. Po kilku rozstrząsali jeszcze raz zasłyszane wiadomości, komentowali je wszechstronnie a szczegółowo.

Ktoś zwrócił uwagę:

— Szkołę już mamy. Da Pan Bóg, że obsadzą i naszą parafię na stałe proboszczem. To człowiek będzie miał gdzie pójść. A teraz w te niedziele, co ksiądz do naszego kościółka nie przyjedzie, to trudno przecie każdemu jechać, czy iść dwadzieścia kilometrów do miasteczka.

Ksiądz bowiem przyjeżdżał dla odprawienia Mszy św. tylko raz na trzy tygodnie. Ale chodziły słuchy, że już wkrótce parafia otrzyma proboszcza na stałe. Wierni parafianie w oczekiwaniu, własnym kosztem odremontowali już plebanię. Martwiło ich tylko, że na dzwonnicy kościółka brakło dzwonu, Niemcy go bowiem zdjęli i wywieźli przed nadejściem frontu.

Eugeniusz Paukszta

Czy czytałeś

fascynującą, udokumentowaną, dwutomową pracę o problematyce rodzinnej Walentego Majdańskiego:

„KOŁYSKI I POTĘGA"
(str. 190),

„POLSKA KWITNĄCA DZIEĆMI"
(str. 217, cena 180 zł.) ?

wysyła Niepokalanów, poczta Teresin k/Sochaczewa, woj. warszawskie.

Tydzień kulturalny

NAGONKA

Od pewnego czasu jesteśmy świadkami prawdziwej nagonki stosowanej przez pewien zespół pism przeciwko popularnemu „Rycerzowi Niepokalanej". Nie tak dawno jakiś młodzieniec na łamach „Młodej Rzeczpospolitej" zestawił „Rycerza" w jednym szeregu z piśmidłami w stylu „Co tydzień powieść" lub „Nowy świat przygód". Teraz z kolei, w numerze pierwszym studenckiego czasopisma „Po prostu" (będącego kontynuacją dawnego, przedwojennego wileńskiego „Po prostu" vel „Rzeczywistości") prawie połowa ostatniej strony poświęcona jest drwinom z „Rycerza".

Czy naprawdę poziom „Rycerza" daje pole do ataków i kpin? Na pewno nie. Można śmiało powiedzieć, że jest to jedyne pismo w Polsce (abstrahując od przekonań ideowych), które posiada umiejętność pisania dla wszystkich. Jest to jedyny periodyk realizując naprawdę hasło schodzenia „pod strzechy". To też poczytność pisma jest ogromna, a jego nakład nie stoi w żadnym stosunku do potrzeb terenu.

Ale „Rycerz" drukuje — jak to zresztą robi cały szereg innych pism — listy do redakcji. Te listy, naturalnie nie mają żadnej wartości literackiej — często są nieudolne, naiwne, źle napisane. Mój Boże — dziś gdy w pismach o aspiracjach literackich wypisuje się horendalne bzdury, gdy ten sam młodzieniec z „Nowej Rzeczpospolitej", który chce krytykować „Rycerza" pisze: „o dążeniu do porozumienia i do wzajemnego odbudowania cielesnego jak i duchowego" itp. — zbytnią surowością jest wymaganie, by czytelnicy „Rycerza" pisali dobrze. Powtarzamy — piszą źle. Dlaczego więc ich listy drukuje „Rycerz"? Dla ich treści, która jest z punktu widzenia katolickiego słuszna, choć nieudolnie oddana.

Być może redakcje „Młodej Rzeczpospolitej" i „Po prostu" są przeciwne postawie katolickiej. Zgoda — ale i w takim razie istnieje coś, co się nazywa etyką walki publicystycznej. Czemu się nie dyskutuje z zasadniczą treścią „Rycerza"? Bo się nie umie? Bardzo możliwe. Drwina jest zawsze łatwiejsza, nie ma nic prostszego jak wyśmiewać tych, co nie umieją napisać.

ZAPOMNIENIE

Wśród 29 pozycji pism katolickich w Polsce, które podał „Tygodnik Warszawski" zabrakło miesięcznika „Posłaniec Matki Boskiej Saletyńskiej", wydawanego przez Ks. Ks Misjonarzy w Rzeszowie. Nie wiadomo czemu zawdzięczać należy opuszczenie pisma w spisie. W każdym razie pismo jest ciekawe, dobrze prowadzone, na poziomie zupełnie popularnym, wydawane za zezwoleniem władzy duchownej. Należało by nim spis uzupełnić, aby czytelnicy nie sądzili, że jest to pismo pominięte dla jakichś bardziej skomplikowanych względów.

JAK Z TYM JEST NAPRAWDĘ?

W 4 numerze „Problemów" znajdujemy artykuł p. Wiktora Morawskiego p.t.: „Wycieczka w przyszłość demograficzną Polski". Zdaniem autora artykułu, dające się słyszeć głosy na temat niepokojącego zahamowania się rozwoju biologicznego Polski są niesłuszne, ponieważ dane publikowane ostatnio przez GUS, a oparte na niezupełnych (często obejmujących 60 — 70% rzeczywistości) danych — są poprostu fałszywe. Jest rzeczą niemożliwą — pisze autor — aby promill urodzeń spadł w 1946 r. (w porównaniu z danymi z przed wojny) w Kieleckim z 26,7 na 11,7, w lubelskim z 26, na 6, zaś promill małżeństw w kieleckim z 8,2 na 4,3, w lubelskim z 7,7 na 2,2. Więc „gdzie źródło tego fałszu?" Tkwi w tym, że „ludność nie zgłasza w urzędach Stanu Cywilnego wszystkich urodzeń i zgonów i nie zawsze zawiera małżeństwa prawne obok wzięcia ślubu religijnego. O tem stosunkowo dużo się mówi, ale ogół społeczeństwa nie zdaje sobie sprawy, jak wielkie, wprost olbrzymie są te zaniedbania.. W czym leży źródło takiego ustosunkowania się znacznej części społeczeństwa do obowiązku sporządzania akt Stanu Cywilnego, na to dają odpowiedź placówki terenowe. Mówią o niedbalstwie, tradycjonalźmie, nieprzyzwyczajeniu do zreformowanych urzędów Stanu Cywilnego, niekiedy o wrogości wobec nich i.... jeszcze raz o niedbalstwie. Opisane stosunki przekreślają możliwość wprowadzenia w chwili obecnej statystyki ruchu naturalnego ludności w Polsce.. W tym stanie rzeczy jedyną drogą, która wyprowadzi statystykę ruchu naturalnego ludności z obecnego impasu jest zdecydowane podniesienie wagi prawnej i organizacyjnej przepisów, dotyczących rejestracji urodzeń i zgonów w urzędach stanu cywilnego, oraz uzależnienie udzielania ślubu religijnego od uprzedniego zawarcia małżeństwa prawnego..."

Trudno się zgodzić z autorem, że tylko niedbalstwo prowadzi ludność do unikania rejestracji. Niewątpliwie słuszne były wysuwane przed rokiem uwagi, iż zastąpienie duchownych urzędów stanu cywilnego przez świeckie urzędy, a więc wprowadzenie w stosunku do wiernych, (którzy stanowią przygniatającą większość ludności), przymusu dwukrotnej formalności odbije się niekorzystnie na porządku prawnym. Autorowie reform sądzili, że urzędowa rejestracja małżeństwa uczyni rzadkością ślub kościelny. Stało się inaczej, ślub kościelny pozostał, natomiast lokale urzędu stanu cywilnego, jak wskazuje w „Problemach" — osnuwa sieć pajęcza. Księża wiedzą ile jest (wśród wiernych) ślubów i urodzeń — urzędy — nie wiedzą... Najrozsądniejszym rozwiązaniem byłaby reforma, zwracająca proboszczowi funkcję urzędnika stanu cywilnego w stosunku do tych, którzy decydują się na chrzest i ślub kościelny, a pozastawiająca świeckie urzędy dla amatorów urzędowej rejestracji...

Zwalenie bowiem wszystkiego na niedbalstwo — to chyba przesada. Ale to na marginesie.

P. Morawski stawia hipotezę, że „dolną granicę przyrostu naturalnego w państwie należałoby określić już na ok. 9 na 1.000 ludności. Hipotezę swą popiera stwierdzeniami wzrostu przyrostu naturalnego w 4 dużych miastach; a mianowicie wyniósł on w 1946 r. (w porównaniu do przed wojny): w Warszawie 9,3 (przed wojną 3), w Łodzi 2,3 (0,3), w Bydgoszczy 12,6 (8,1), w Poznaniu 13,9 (5,3).

Dane powyższe są rzeczywiście ciekawe. Pokrywają się one z opiniami proboszczów parafii miejskich, zdaniem których obecny przyrost naturalny w miastach jest niebywale duży. Przoduje tu np. — inteligencja! To samo zresztą da się zaobserwować w środowiskach mieszczańskich, w mniejszym stopniu, ale także — w robotniczych. Można to zjawisko rozmaicie sobie tłumaczyć; w tej chwili nie próbujemy tego robić. Stwierdzamy fakt.

Ale... Ale nie zmienia to sprawy, że ogólny przyrost naturalny w województwach branych w całości jest bardzo zły. Z wyjątkiem woj. pomorskiego (16,8) i poznańskiego (19,4)! P. Morawski wysnuwa stąd wniosek, że trzeba dane Pomorza i Poznańskiego, które były przed wojną danymi najmniejszymi) przyjąć za minimum i odpowiednio na tej podstawie obliczyć średni przyrost dla całego kraju. „Przyjęcie tych liczb oznaczałoby, że przyrost naturalny ludności Polski na przełomie lat 1946 i 1947 utrzymywał się co najmniej na poziomie przed wojennym..."

Nie wydaje nam się to słuszne. Niestety — posiadane przez nas opinie z terenu stwierdzają, że gdy w miastach od 1946 r. mamy do czynienia ze wzrostem przyrostu naturalnego — na wsiach jesteśmy świadkiem katastrofalnego spadku. Właśnie do wsi dotarła w tej chwili skompromitowana po miastach, propaganda życia ułatwionego, sztucznych poronień, zabiegów antykoncepcyjnych, rozwodów itp. I jeżeli fala ta dotyka bardziej terenów Lubelszczyzny, Kielecczyzny, a prawie zupełnie Pomorskiego czy Poznańskiego, dowodzi to większej odporności moralnej tamtych ziem na szkodliwe tendencje. Dowodzi także może większego realizmu ziem pomorsko - poznańskich, mniejszego ulegania „byle do jutra", „byle do wiosny" itp. Zresztą nie chcemy już dziś analizować podłoża także i tego zjawiska. Podkreślamy tylko: nie upierając się przy cyfrach, które rzeczywiście niewątpliwie są lepsze, sytuacja demograficzna po miastach i wsiach przedstawia się bardzo źle, i konieczna jest zdecydowana, mocna akcja propagandowa odpierająca i niszcząca akcję przeciwną. Dotychczas nie robiło się wiele. Jedyne pismo, które konsekwentnie i stale, właśnie na terenie wiejskim, walczy z hasłami małodzietności czy bezdzietności — „Rycerz Niepokalanej" — jest wyśmiewany krytykowany. Niedawno „Nowa Rzeczpospolita" zaliczyła go do pism równie niepotrzebnych, jak „Tajny detektyw" czy „Co tydzień powieść"...

Nie sądzimy, aby można się było pochwalić przyrostem naturalnym wynoszącym 9 pro mille. A i taki przyrost, niższy niż przyrost pierwszej połowy 1939 r. (wynosił wówczas 9,5 pro mille), jest przyrostem katastrofalnym.

RECENZJE

POEZJE ZBYSZKA BEDNORZA

Jest to bardzo piękny zeszycik poezji o powstaniach śląskich, którym autor stawia swoimi wierszami rzetelny „pomnik sławy". Myślom Bednorza patronuje Matka Boska Częstochowska „Pogromicielka Wojny", a św. Anna „Stróżka Odry" towarzyszy krokom powstańca. Wszyscy poszli i górnik i hutnik, robotnik i chłop, cały lud „bez sztandarów, rumaków i rycerzy... na szaro...",

„Było
Serce w piersi, moc w ramionach
Proch i — grenzszuc".

Powstanie to „jasnopieronowe" pozostało wielką w swej krzywdzie przetargów i handlów ofiarą; więc były potem strajki i bunty, gdzie milczeć musiał „brat węgiel" i „huta siostra", masy ludu pragnące jarzmo zrzucić nie ustępują, więc znów „porastają w maj mogiły...". Wreszcie ostatnia partia wierszy to śpiew o zdobyciu góry św. Anny. Tak było i nie na darmo.

„A dziś o Anno — Stróżko Odry
Bądź pozdrowiona
Biało-czerwonym
Godłem".

Te wiersze Bednorza mają swój właściwy autorowi styl, jest tu wiele tradycji, na której tworzywem poetyckim buduje Bednorz swój własny, świeży, współczesny byt i żywot poetycki; buduje na trwałych, mocno korzeniami wrosłych elementach polskich. Bednorz jest bardzo wyraźnym akcentem wśród pisarzy katolickich; świat jego zna potężne prądy serdeczne myśli, i rozrywającą serce jak dynamit głęboką miłość. Przy dużej dozie realizmu, uczuciowość jego jest prosta, mocna i zdrowa. Nie nudzi tematem tyle ośpiewanym, ani też powtarzającymi się wątkami, potrafi swą poezją przemienić szare i proste na urok i czar, a stare i dawne ukazać w poemacie najbliższe i najważniejsze.

Piękne są strofy ostatniego poematu w dziwnym rytmie „biadolenia" zamknięte

„A teraz bitwy, Jezus bitwy;
A coraz wyżej gdzieś pod szczytem
A teraz bitwy, Jezus bitwy
A noce w ogniu,
A gdzieś giną bez modlitwy;
Łby rozwalone pod klasztorem"

Dużo tu Śląska prawdziwego we wszystkim, cały Bednorz jest naskroś śląskim, oryginalnym i jedynym wśród innych, miejsce jego jako poety coraz wybitniejsze.

M. Pazdro

POETA NA PROGU *)

Surowość jest tym, co uderza w wierszach Tadeusza Sokoła. Rozumiem to słowo w obu jego znaczeniach.

Przede wszystkim surowość formy, bo to pierwsze zwraca uwagę. Styl i prozodia są tu jak oporne dłuto, które początkujący rzeźbiarz mozolnie prowadzi stuknięciami młota. Nie trzeba wiedzieć o autorze nawet tyle, że jest z poetyckiej młodzieży marksistowskiej, by poznać, że niedawno wszedł na drogę twórczą.

Młody poeta sięga ku najróżniejszym wzorom, szukając dopiero własnej techniki. Cóż dziwnego, że nie może się skupić nad wydoskonaleniem jednej, sobie właściwej, skoro próbuje wszystkcih po trochu. Ale to typowa Scylla i Charybda pierwszych poczynań.

Szkoda, że „Pieśń o chłopcu", wiersz zresztą nienajlepszy, nie znajduje się na wstępie tomu. Ta pewnego rodzaju poetyzowana autobiografia dużo by od początku wyjaśniła, choć motywy znamy z wielu podobnych utworów (np. „Serce jak obłok" Baczyńskiego). A właściwie właśnie dlatego. Od chłopca, który „śmiał się życiem i śpiewał pracą", „gwiazdy zrywał i księżyc", wreszcie:

„Gdzież to było, kiedy i gdzie?
w jakiejż walce padł i przyszła śmierć?
wspomniał jeszcze czyjeś oczy sarnie,
czasem piwne, zielone i czarne" —

od chłopca zaczyna się właśnie ta poezja. Mówię o formie i genezie.

Surowości formy bowiem towarzyszy surowość druga: treści. Ta treść też była wykuwana dłutem, ale młot walił już pewnie i rytmicznie. Jeśli słowo: surowość, użyte pierwszy raz, mogło oznaczać: chropowatość, to w tym wypadku zastąpi je kilka synonimów.

Na przykład: prawda. Tu nie ma nic z efektownych kłamstw, od jakich dziś aż się roi w literaturze. Sokół jest poetą konkretu. Ma wiele do powiedzenia, a wiersz jest tylko narzędziem. Zawartość wzbiera i co chwila drze cienki płatek słowa.

Na przykład: gorzki realizm. Taki jak w pięknym i jedynym w swym rodzaju wierszu do „Towarzyszki".

Na przykład: ideowość. Wprawdzie poezja ideowości się boi. Ale ta wynika u Sokoła tak naturalnie, że staje się, obok języka, drugim jego tworzywem. Z niej przecież powstawały wiersze jak „Prośba", „Strzał", „Ballada pastusza", „Towarzyszce" choćby...

To jest również młodością w tej poezji. Ale łatwo spostrzec, że jak słowo surowość użyłem w dwu znaczeniach, tak i epitet „młody", tam mówił o niedociągnięciach, tu jest zaszczytną nazwą najbardziej twórczego żywiołu świata.

Z połączenia powstał ten tomik z całą obfitością zalet i wad. Wiersz, formalnie niezbyt wykończony, mimo to narzuca się melodyjnością. Zwroty wzorowo zwarte utykają czasem na plączących się dłużyznach. Obok osiągnięć chwyty już niemal z etykietką. I skala możliwości, przeglądająca z mieszaniny stylów.

Tylko na przyszłość jak najmniej wierszy, jak najwięcej poezji! Wiersze to: „Inwalidom", „Kwiat", „Podhale", „Spotkanie", „Od strony Węgier". Rzetelna poezja to wśród wielu: „Popołudnie", „Do Ciebie", czy wspaniała „Ballada pastusza".

Gdyśmy już zeszli na szczegóły: źle przysłużyła się poezjom Sokoła szata graficzna. W zasadzie bez zarzutu, a jednak — niespokojny krój czcionek, siwy papier....

Nietrafny też tytuł „Pocisk i lira" Pomijając szablonowość i skojarzenia z „Leier und Schwert", tytuł ten mówi o tym, czego w tomie właściwie nie ma, milczy zaś np. o tak wyraźnym przecież pierwiastku wiejskim.

A cokolwiek by się dało wywlec przy analizie: w tej poezji tkwi śmiałe i nowe piękno, jakie dobywa Sokół ze współczesności, tym charakterystyczne, że i woni mu nie brak, i w ręku ścisnąć można jego twardy kształt. Oby tego rdzenia swojej twórczości nie zatracił.

Robert Stiller

*) Tadeusz Sokół: „Pocisk i lira". Sp. Wyd. „Wiedza", s. 73,3 nlb.

JAN DOBRACZYŃSKI

W ROZWALONYM DOMU

(POWIEŚĆ O POWSTANIU)

głosy prasy:

„Książka Dobraczyńskiego jest po prostu książką katolicką...„
(TYGODNIK POWSZECHNY)

„Książkę Dobraczyńskiego czyta się jednym tchem..."
(GŁOS KATOLICKI)

„Wartością książki Dobraczyńskiego jest to, że sprostał zadaniu..."
(DZIŚ I JUTRO)

„To jest książka o której trudno pisać. Trudno ją recenzować. Trzeba ją czytać i przeżywać..."
(POLSKA ZACHODNIA)

„Zwracam uwagę na zabawną książkę Dobraczyńskiego... Nie warto by było o powieści te mówić, gdyby nie pretendowała ona do miana reprezentatywnej katolickiej wersji artystycznej powstania..."
(KUŹNICA)

„Temat po prostu przygniótł atutora..."
(TYGODNIK WARSZAWSKI)

„Dobraczyński ulega schematom kompozycyjnym..."
(POKOLENIE)

Stanisław Podlewski

Przemarsz przez piekło [11]

Ostatnie chwile Starego Miasta

Ziemia drżała, rozsypywały się stare spalone mury od wybuchów, padających w pobliżu tonowych bomb i pocisków działa kolejowego. Dowlekli się do bramy najbliższej kamienicy i na schody, wiodące do piwnicy, gdy straszliwy podmuch powalił ich, a łoskot walących się kamieni ogłuszył. Zostali zasypani. Zapewne znaleźli śmierć pod gruzami, myślano w kompandi. Pod nieustannym ogniem nie było możliwości niesienia im pomocy. Podziałało to deprymująco na wszystkich. Mnożyły się nadomiar ofiary w ludziach. Zginęły dwie łączniczki: Murzynek — Ina (Obalska Janina), 16-letnia uczenica miejskiego żeńskiego gimnazjum im. J. Kochanowskiego i Hanka (Kapuścińska), studentka pierwszego roku tajnego Uniwersytetu. Zginął młody chłopiec Góra i kilku innych.

Teraz w największym napięciu nerwów oczekiwała kompania 104 na swoją kolej wejścia do kanału, ustaloną rozkazem dowództwa zgrupowania.

Tymczasem najniespodziewaniej przychodzi z dowództwa zmiana rozkazu. Kompania 104 ma osłaniać odwrót. Trwać na stanowiskach tak długo, aż wszyscy wejdą do kanałów. Wśród żołnierzy nadludzko zmęczonych rodzi się niezadowolenie. Jakiś plutonowy, ciemne i nie poczytalne indywiduum, również iskrę buntu wprowadza. Padają demagogiczne, bezsensowne inwektywy, znajdują łatwy i bezkrytyczny posłuch, wśród tych żołnierzy. Odzywają się głosy.

— Oni chcą nas „wykantować i wykiwać". Pragną nas wykończyć. Po raz drugi dowództwo A. K. przeznaczyło nas na zniszczenie. Niedoczekanie ich.

Zaciskają się ręce na pistoletach.

— „Idziemy pod właz" — padają głosy i znajdują posłuch. „Idziemy panowie!"

Sprzeciwiają się nieliczni oficerowie, więc ich rozbrajają i zabierają ze sobą. Udają się bezładną gromadą pod właz.

Przed północą wpada na kwaterę majora Roga podniecony oficer i melduje o tym jednym tchem. Wprost nie chce się majorowi wierzyć; czyżby to było możliwe?

Kompania Związku Syndykalistów Polskich należała zawsze do najlepszych jego oddziałów. Uzbrojeni po zęby, zdyscyplinowani, przepojeni wspaniałym duchem bojowym, przeważnie młodzież robotnicza i inteligencka, ze Staromiejskiej dzielnicy, byli w każdej akcji bojowej pewni, niezawodni i ofiarni.

Te komapnie miał zawsze w odwodzie, przeznaczoną na najciemniejszą chwilę. Gdy było już na jakimś odcinku źle, wtargnął w umocnienia nieprzyjaciel, posyłał do nich gońca z rozkazem na Świętojerską 10, gdzie kwaterowali.

W dzień czy w noc, zawsze byli w pełnej gotowości bojowej.

Ma jeszcze w oczach te niezapomniane sceny. Pędzą schyleni wśród ruin i palących się domów, niepowstrzymanie jak wicher, jak falanga greckich hoplitów. Miał wtedy spokojną głowę. Gdzie oni poszli, sytuacja musiała być wyjaśniona.

Któż mógł doprowadzić tych dzielnych żołnierzy do tak krytycznego napięcia i niepoczytalnego kroku.

Natychmiast przekazuje telefonicznie te wiadomości do Dowództwa „Warszawa-Północ".

Właśnie, kiedy pułk. Wachnowski odkładał słuchawkę wstrząśnięty tą wiadomością do głębi, wpada major Barry, dowódca żandarmerii polowej. Oczy jego rzucają błyskawice, nozdrza grają jak u konia, rękę trzyma na pistolecie. Dorzuca wiele szczegółów, potwierdza tą samą wieść, i kończy.

— Jeśli Dowództwo pragnie utrzymać właz do kanałów w swoich rękach i umożliwić ewakuację, należy natychmiast zaprowadzić porządek i użyć broni.

Zalega głuche milczenie wśród obecnych. Mały otwór włazu stanowi o życiu wielu tysięcznych rzesz.

— Żandarmeria jest gotowa, z determinacją powiada Barry.

Ma taką minę, że rzuciłby się na rodzonego ojca. Pulk. Wachnowski słucha bez słowa, zimny i blady jak marmur. Naraz ostro wybucha pułk. Jesion.

— Jakiekolwiek użycie broni jest wykluczone, zapytuje przeciwko komu? Przeciw tym dzielnym żołnierzom?

— Pan Pułkownik uda się natychmiast na miejsce — odzywa się Wachnowski i musi Pan za wszelką cenę opanować sytuację.

Ponura jak dusza zbrodniarza noc, ciemna gęsta jak smoła, czasem tylko rozerwie ją oślepiający błysk pocisku czy rakiety. Od strony włazu słychać oddalony szum i gwar, jak na opuście na wielkim stawie czy rzece w czasie powodzi.

Pułkownik nie wziął ze sobą nawet pistoletu, choćby na wszelki wypadek. Przy włazie nieopisany tłok i nieustanne zatory.

Przeprowadzają go do owych buntowników, rebeliantów. Stoją lub siedzą w grupkach. Wielu nadludzko zmęczonych śpi, inni patrzą otępiałym wzrokiem, lub mają głowy zwieszone na piersi, ręce opuszczone w bezwładzie. Groźnie, pochmurno. Pułkownik z humorem, jak gdyby o niczym nie wiedział rozpoczyna z nimi rozmawiać. Zna psychikę żołnierza powstańczego, młodego i niedoświadczonego, którego nie głód, pragnienie czy niepewność losu, ale klęska przywaliła do ziemi. Żal mu było tych chłopaków. Sam stracił swojego syna przed powstaniem. W innych warunkach byliby najlepszymi żołnierzami świata. Podchodzi do nich z sercem, tak po żołniersku, z prosta, nawiązuje z nimi rozmowę. Sypią się jak z rogu obfitości, żale, skargi, narzekania na naczelne dowództwo, na oficerów. Pułkownik wysoki, barczysty stoi jak Goliat wśród gromady Mirrmidonow. Otoczyli go żywym łańcuchem ramion i głów.

Najbardziej gardłuje jakiś plutonowy.

— Dowództwo chce nas wykończyć, zniszczyć...

— My chodzimy głodni, nie ma co jeść, palić, pić, oficerowie mają wódkę...

— A kiedy to wy piliście ostatnio wódkę?

— Już zapomniałem kiedy.

— Chuchnij tylko bracie.

— Kiedy... Panie Pułkowniku!

— No chuchnij, nie wstydź się — mówi z humorem pułkownik.

Piłeś kilka minut temu prawda?

— Tak jest Panie Pułkowniku.

— To ci powiem, że ja ją piłem kilka dni temu, choć jestem komendantem Kwatery Głównej i jako stary kawalerzysta kielichem nie gardzę.

I tak od słowa do słowa udaje się pułkownikowi wyjaśnić sytuację, rozładować burzę i przekonać chłopców, że tylko karność i porządek może uratować wszystkim życie. Większość przyrzekła posłuch.

Organizują się jednostki i powracają na swoje dawne stanowiska na Brzowej. Godzinę później zameldował o tym jeden z oficerów. Niebezpieczeństwo buntu było zażegnane.

BUNT „GWIAZD" STAREGO MIASTA

W międzyczasie major Róg zabiera ppor. Szybkiego i patrol bojowy i udaje się w stronę włazu. Spotyka powracające już na swoje kwatery grupy z Kompanii Syndykalistów.

Po inspekcji barykad na Brzozowej i Kamiennych Schodkach wraca na Podwale. Po drodze spotyka patrol trzech ludzi. Poznaje chłopców kapitana Gustawa, z batalionu Narodowej Organizacji Wojskowej. W czasie marszu major zapytuje:

— Co tam u was słychać na Placu Zamkowym, chłopcy?

— Źle. Szkoda gadać, panie majorze. Nasz batalion zeszedł z barykad.

— Co takiego? — zapytuje z niedowierzaniem.

— My jesteśmy ostatnim patrolem. Odchodzimy wprost do włazu.

Wieść ta jak gdyby obuchem uderzyła majora. Ledwie przecież zdążył uporać się z Syndykalistami.

Rozkazuje patrolowi natychmiast powrócić na swoje stanowiska.

Sam biegnie na kwaterę Batalionu „Bończy", zarządza alarm. Rozkazuje obsadzić barykadę na Piwnej i Podwalu. Stawia na nogi całe swoje Dowództwo, swój poczet łączników i gońców. Wszyscy na stanowiska.

Wychodzą na Piekiełko i na Podwale, obsadzają barykady.

Major wraz z ppor. Szybkim biegnie wśród oślepiających rakiet do włazu przy zbiegu Długiej i Placu Krasińskich. Spotkanemu oficerowi żandarmerii wydaje rozkaz:

— Natychmiast zamknie pan właz.

Rozkaz uzasadnia dezercją jednego ze swoich batalionów.

Porucznik żandarmerii, doceniając ważność sytuacji, wraz z całą swoją załogą oddaje się do dyspozycji. Major poleca mu odszukanie trzech kompanii, które zapewne gdzieś zapadły w pobliżu, w wypalonych szkieletach domów. Sam idzie z wiadomością do pułk. Wachnowskiego. Drugi tak tragicznie brzmiący meldunek w ciągu jednej nocy wywiera wstrząsające wrażenie wśród oficerów dowództwa „Warszawa - Północ". Nie wiedzą, że władze Stronnictwa Narodowego, chcąc ratować resztki tej dzielnej młodzieży, bez uzgodnienia z dowództwem dały zarządzenie natychmiastowego przejścia do Śródmieścia.

Mjr. Róg nie spodziewał się buntu wśród ludzi Gustawa. Świetny to żołnierz, bojowy dowódca, twardy, i ofiarny. Trzy razy ranny nie chciał nawet myśleć o leczeniu w szpitalu, rozstaniu się ze swoimi ludźmi Chory, w bandażach dowodził dalej. Jako jeden z pierwszych przedstawiony został do odznaczenia krzyżem „Virtuti Militari".

W pewnej chwili mjr. Róg widzi w mroku jakąś grupkę ciemnych postaci. Poznaje kpt. Gustawa. Stoi on w otoczeniu kilku swoich oficerów.

Przy nich waruje ów porucznik żandarmerii. Kapitan Gustaw robi wrażenie człowieka nieprzytomnego. Wysoka, szczupła jego postać, jak gdyby uginała się pod niewiadomym ciężarem. Sili się jednak na spokój.

— Co się stało kapitanie?

— Źle, bardzo źle..., ale ja sam za to odpowiadam, biorę odpowiedzialność za wszystko.— mówi na wpół przytomny. — Kompanie powrócą na swoje stanowiska, proszę mi wierzyć.

Słychać ostre kroki i z ciemności wyłania się wysoka, barczysta postać w polskim hełmie, z zakasanymi rękawami koszuli. To major Barry, z patrolem żandarmerii, złożonym z takich jak i on sam - zabijaków. Melduje majorowi:

— Otrzymałem rozkaz od pułk. Wachnowskiego, aby aresztować wszystkich tych oficerów, których wskaże pan major.

Kiedy to mówi jego żandarmi niepostrzeżenie i sprawnie otaczają kordonem oficerów Gustawa.

Major Róg wydaje rozkaz, aby żandarmi odmaszerowali na swoje kwatery. Na to jeden z oficerów żandarmerii mówi szeptem do niego:

— Ja odejdę wtedy, kiedy pan major powróci na swoją kwaterę. Kapitan Gustaw patrzy tępo i bez słowa.

— Gdzie Pan ma swoje wojsko? — zapytuje major.

Kapitan Gustaw wskazuje na bramę na pół rozwalonego domu.

— Tu na podwórzu.

Wchodzą między ruiny. Major orientuje się, że może tu być około 300 ludzi.. W pewnej chwili Gustaw odzywa się:

— Proszę, niech pan major nic nie mówi do nich. Ja odpowiadam za wszystko.

— Ile pan potrzebuje czasu na opanowanie sytuacji i zajęcie napowrót swoich barykad i stanowisk?

— Wystarczy mi godzina.

— Zarządzam na godz. 3-cią odprawę oficerów Batalionu.

— Rozkaz.

Major szybko wychodzi.

O wyznaczonej godzinie zbierają się wszyscy dowódcy. Na wschodzie ciemno - granatowe niebo zaczyna jaśnieć.

Major jest blady, zmieniony. Wszystkie nerwy napięte do ostateczności. Wchodzi pewnie i szybko. Spogląda na obecnych. Widzi same młode chłopięce twarze. Wszystkich dobrze zna. Dzielni żołnierze, świetni dowódcy w boju. Nieomal wszyscy mają baretki „Virtuti Militari" i „Krzyże Walecznych". Jakiś gwałtowny skurcz chwyta go za serce. Oczy zachodzą szkliwem łez. Ledwie może zdobyć się na kilka słów. Oni stoją i patrzą w niego zaczerwienionymi i rozszerzonymi ze zmęczenia oczami.

— Wiecie, że byliście jednym z najlepszych moich oddziałów — rozpoczyna major. Ponieśliście ogromne straty przy wybuchu owego czołgu, na Kilińskiego i na wielu innych stanowiskach. Walczyliście tam, gdzie było najgorzej, wspieraliście inne oddziały. Dawałem was innym za przykład odwagi, poświęcenia i karności. Pamiętacie, że nazwałem was, w jednym z moich rozkazów, gwiazdami Starego Miasta. Zawiodłem się na was, jako dowódca i przyjaciel. Zrobiliście mi łajdactwo. Sami osądźcie swój postępek, nim to za was zrobi historia. Co dalej zrobicie, pozostawiam wam.

Major widział, jak po brudnych i zarośniętych twarzach tych młodych dowódców płynęły łzy.

Salutuje i szybko wychodzi.

Oficerowie stoją długą chwilę bez ruchu, jak zahypnotyzowani. Za oknami z chichotem przelatują pociski. Artyleria rozpoczyna swój codzienny poranny koncert.

Wkrótce na kwaterze otrzymuje major meldunek, że barykady są napowrót obsadzone, a oddziały zaalarmowane odeszły na swoje kwatery.

Na dworze wstaje świt, krwawe zorze przebijają się przez ciemne welony mgieł i dymu. Gdzieś za murami staromiejskiej dzielnicy budzi się życie. Nad Starówką miała dopełnić się tragedia.

c. d. n.

- RES SACRA -
artystyczne wydawnictwa i dewocjonalia

CZĘSTOCHOWA, WIELUŃSKA Nr 1

Lata 1947 i 1949 - to lata rocznic
św. Wojciecha

ROK 1947 1949 950 lat męczeństwa kanonizacji

Na przeciąg tych lat aktualna broszurka:

"ŚW. WOJCIECH A POLSKA"
Stefanii Podhorskiej — Okołów.
Każdy Polak winien znać dzieje początków naszej państwowości. Temu celowi odpowiada wymieniona broszurka. Wydana w artystycznej okładce z trzema rysunkami w tekście, projektu prof. Józefa Hollaka.
Ponadto w artystycznej okdładce wydano.

„TAJEMNICE RÓŻAŃCA ŚW. 2 Rozważania
Anieli Stommównej
Krótkie, zwięzłe, treściwe myśli przy odmawianiu różańca.

„JASNA GÓRA"
Jerzego Goździka
Krótki zarys historyczny. — Treściwie podano tam dzieje Jasnej Góry, od początków legendarnych aż do czasów dzisiejszych.
Cena **broszurek 40 zł.**
Wysyłka za pobraniem pocztowym plus koszta. Księgarnie i odsprzedawcy zamawiający nie mniej 25 egz. — rabat 30%.

U W A G A ! ! !
Z druku w najbliższych tygodniach wyjdzie w artystycznej okładce dawno oczekiwana praca p. t.:

KONFERENCJE I KAZANIA MISYJNE I REKOLEKCJE
Praktyczny podręcznik dla księży parafialnych i rekolekcjonistów.
Ks. Stanisława Marchewski
Kanonika Wiślickiego i Dziekana w Świdnicy.
Niezwłocznie nadsyłać zamówienia ze względu na ustalenie nakładu. Cena 750.— zł. + koszta przesyłki.
Wpłacający od razu, a niepóźniej jak do 1.VIII b. r. otrzymają za cenę 525.— zł. bez kosztów przesyłki.
Wpłacać na konto P.K.O. Nr. VII-252. Bank Handlowy w Warszawie S. A. Oddział w Częstochowie:
„R E S S A C R A"

Czytelnik uważa, że...

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W związku z artykułem p. J. Nowaka-Dłużewskiego p.t. „Trzecia reforma społeczna", zamieszczonego na łamach „Dziś i Jutro", pozwolę sobie podać następujące uwagi.

Wielokrotnie już prasa wszelkich odcieni biła na alarm z powodu braku sił fachowych w szkolnictwie wszystkich szczebli.

Jestem magistrem filozofii w zakresie filologii klasycznej (studia ukończyłam w 1939 r.).

Aczkolwiek mam wiele zajęć, związanych z wychowaniem drobnych dzieci, postanowiłam zużytkować swoje wykształcenie dla służby społecznej w szkolnictwie.

Osobiście zgłosiłam się w czerwcu b. r. do Kuratorium Okręgu Warszawskiego z propozycją przyjęcia pracy w szkolnictwie w charakterze nauczycielki łaciny, języka polskiego lub historii starożytnej.

Zależało mi na pracy w Warszawie lub jej okolicy ze względu na mieszkanie w stolicy, odpowiedzialne i wymagające stałego pobytu w Warszawie zajęcie męża. Rzecz prosta ewentualności pozostawienia męża z dziećmi i mego wyjazdu w głąb kraju w rachubę w ogóle nie biorę.

W Kuratorium powiedziano mi, że o zatrudnieniu mnie w Warszawie nie ma mowy, a gdzieś dalej „może".

Czyż nie jest dziwne, że po takim przetrzebieniu inteligencji, w Polsce (filologię klasyczną przynajmniej w Warszawie studiował duży odsetek Żydów) nie ma miejsca w szkolnictwie dla człowieka z dyplomem z prawdziwego zdarzenia.

A może jest dużo przesady z tym brakiem odpowiednich sił nauczycielskich?

Przesyłam wyrazy szacunku
A. W.

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Tym razem trochę pokrytykuję. Słowa krytyki są również krzepiące, jak słowa uznania, pod warunkiem oczywiście, że dadzą pozytywne rezultaty. Nie przeczę, że artykuły zamieszczane w „Dziś i Jutro" obejmują duży zasięg tematyczny, często są bardzo interesujące, ale mam pewne zastrzeżenia, jeśli chodzi o całokształt treści. Zauważyłem, że brak Wam stałego przeglądu prasy, zwłaszcza wydawanej przez obóz marksistowski. Może niejeden żachnie się na tego rodzaju uwagę... Ale proszę posłuchać!

„Słowo Powszechne" stale zamieszcza fragmenty z pism katolickich, by w ten sposób zaznajomić czytelników z życiem publicystycznym na własnym terenie; mało jednak zajmuje się inną prasą. Wobec tego „Dziś i Jutro" powinno uzupełnić tę lukę i zająć się właśnie przeglądem prasy lewicowej. Znajomość tego, co się dzieje u przeciwnika ideowego jest chyba równie ważna, jak poznanie siebie samych.

Jakie korzyści przyniesie „Przegląd Prasy Marksistowskiej"?

Primo — wytrąci atut samym marksistom, którzy tak często nam zarzucają, że odizolowujemy szerokie masy katolickie od poznania odmiennych doktryn światopoglądowych, a secundo — ułatwi nam ugruntowanie sądu o ideologii marksistowskiej i pozwoli na dokładniejszą obserwację przeobrażeń, dokonywujących się wśród polskich markistów. W przeglądzie tym należałoby zwrócić uwagę przede wszystkim na tygodniki i miesięczniki, zwłaszcza na „Kuźnicę", „Trybunę Wolności", „Przegląd Socjalistyczny", przy czym komentarze powinny zawierać ścisłe i jasno ustalone własne stanowisko wobec poruszanych tam problemów. Będzie to wstępem do dalszych polemik i przyczyni się do żywszej wymiany myśli między publicystami.

Konieczność stworzenia tego rodzaju działu w tygodniku „Dziś i Jutro" odczułem szczególniej, czytając artykuł prof. Chałasińskiego w „Kuźnicy" na temat reformy uniwersyteckiej. Zagadnienia poruszane przez autora, oraz sposób ich ujęcia są tak interesujące i tak wyróżniają się spośród dotychczasowych wypowiedzi lewicowców, że artykuł ten zasługuje na specjalne podkreślenie i omówienie na łamach prasy katolickiej. Przecież prof. Chałasiński pisze: „... Ograniczanie do minimum biurokratyzacji, ograniczanie do minimum roli czynnika państwowego i partyjno-politycznego w tej dziedzinie, którą potocznie nazywa się „kulturą, sztuką i nauką", jest nie tylko konieczne z punktu widzenia ostatecznego demokratycznego celu reform gospodarczych i politycznych. Ono jest także konieczne z punktu widzenia samego procesu demokratyzacji"... („Kuźnica", nr 24, „O społ. sens ref. uniw.").

Słowa te wskazują na to, że prof. Chałasiński odznacza się niezależną umysłowością i rozsądną argumentacją. I dlatego żałuję, że w Waszym piśmie nie ma odrębnego działu poświęconego prasie marksistowskiej, bo doprawdy warto dyskutować z naukowcami, którzy potrafią zdobyć się na rzeczową krytykę pewnych problemów.

Ciekawi mnie bardzo, czy inni czytelnicy „Dziś i Jutro" są podobnego zdania, czy też może sądzą inaczej. Bo ja uważam, że kwestia stosunku do marksistów powinna być rozwiązana w sposób pozytywny, tj. musimy zdecydować się na to, by śmiało podjąć się interpretacji zagadnień wysuwanych przez marksistów i wyniki dyskusji podać do wiadomości szerszemu ogółowi katolickiemu (niezależnie od tego, czy się z nimi zgadzamy, czy też nie).

Drugą kwestią (o wiele ważniejszą) jest sprawa stosunku prasy lewicowej do pism katolickich. Coraz częściej spotykam nieprzychylne uwagi, zwłaszcza w „Głosie Ludu", wobec „Dziś i Jutro" i „Słowa Powszechnego". Lewicowcy starają się przekonać opinię publiczną, że jesteście prawicowcami, że jesteście po prostu — reakcją! Oto „Głos Ludu" z dnia 17 czerwca br. zawiera taką wzmiankę: „Obrona andersowców", stąd dowiadujemy się, że artykuł p. Roztworowskiego z „Dziś i Jutro" na temat polskiej prasy emigracyjnej, stanowi „próbę jej całkowitej rehabilitacji, jej wybielenia i usprawiedliwienia"... (tak!). I z tego wyprowadza się wniosek, że niektórzy publicyści grupy „Dziś i Jutro" — „dalecy są od wszelkiej, choćby najbardziej umiarkowanej demokracji"! Tego rodzaju upraszczaniem sprawy, zarzutami „faszyzmu" i „obrony emigracji londyńskiej", nie dojdzie się do porozumienia! Przecież zdrowe poczucie krytyki nakazuje nam stwierdzić fakt że nawet na emigracji naszej, obok licznych minusów, znajdą się i plusy.

J. D.

SZEROKI HORYZONT

»Wieś Pastalozziego«

I.

Wśród strasznych skutków minionej wojny, obok zniszczeń miast, obok ofiar w ludziach, obok kalek i zniszczonych ognisk domowych, jednym z najbardziej bolesnych, najbardziej przejmujących są masy sierot, sierot po ofiarach wojny, dzieci bez ojca i matki, bez bliskich, bez domu. Los tych dzieci rzuconych na tułacze szlaki wojenne zawsze był okrutny, ale obecna wojna z bombardowaniem miast, ostrzeliwaniem pełnych uchodźców gościńców los ten tysiąckrotnie jeszcze pogorszyła, powiększając liczbę tych biednych małych istot rzuconych bez opieki, bez dachu nad głową. Widok dziecka przy zwłokach rozszarpanych przez pocisk rodziców, widok dziecka jedynego, cudem uratowanego z płonącego domu nie był rzadkim widokiem. Cudem prawdziwym nieraz dziecko ocalało, ale co dalej?

Ta myśl o tym „co dalej?" narzucała się siłą wielu ludziom, którym los tych nieszczęsnych sierot był bliski. I gdy w r. 1945 redaktor Corti na łamach popularnego szwajcarskiego tygodnika „Du" rzucił projekt stworzenia specjalnego ośrodka dla sierot całego świata w Szwajcarii — projekt — mimo jego pozornej fantastyczności i trudności w wykonaniu — przyjęty został w Szwajcarii z entuzjazmem. Realizację tej myśli podjęła znana szwajcarska organizacja „Pro Juventute" (Pamiętacie śliczne szwajcarskie znaczki wydawane co roku z napisem „Pro Juventute"). Przełamano wszystkie trudności piętrzące się na drodze temu szlachetnemu przedsięwzięciu. Gmina Trogen w kantonie Appenzell odstąpiła na b. dogodnych, prawie darmowych, warunkach 40.000 metrów kwadratowych terenu. Znalazły się firmy, które dostarczyły zaraz drzewa budulcowego. Grupa studentów z osiem dziesięcioletnim nauczycielem na czele ofiarowała całe swe wakacje dla pracy przy budowie ośrodka. I wieś sierot, wieś obdarzona nazwą wielkiego szwajcarskiego pedagoga i przyjaciela dzieci Pestalozziego powstała.

Obecnie we „wsi Pestalozziego" jest już osiem domków, z czego 5 zamieszkałych, do jesieni ma ich być 17. Jesienią 1946 przybyły do wsi Pestalozziego pierwsze sieroty. Były to sieroty francuskie z Marsylii i Tuluzy. Potem przyszły sieroty polskie „jasne", to jest wywiezione do Niemiec w celach germanizacyjnych. Potem dzieci polskie „ciemne", to jest sieroty z Warszawy. Potem zaczęły wieś zaludniać inne dzieci, z Austrii i Włoch i Węgier i Czechosłowacji i innych krajów. Marzenie zaczęło przyoblekać się w rzeczywistość. Na wolnej ziemi szwajcarskiej, na ziemi ludzi, którzy w XIV wieku pierwsi strząsnęli tyranię cesarza niemieckiego, ziemi gdzie działał Pestalozzi, gdzie założono Czerwony Krzyż, powstała jedyna w swoim rodzaju placówka nowego wychowania, najwspanialszy pomnik postawiony szlachetnej postaci wielkiego wychowawcy „obywatela ludzkości", którego stulecie czciła niedawno Szwajcaria i cała ludzkość.

II.

„Wieś Pestalozziego" składa się z szeregu (8) domków podwójnych, drewnianych, w ślicznej górskiej okolicy. W domkach drewnianych, czystych w jednej ich części są salki sypialne, w drugiej izby bawialne, rekreacyjne, szkolne. W każdym z domków mieszka grupka (16) sierot jednej narodowości pod opieką swego dorosłego współziomka, opiekuna, czasem opiekunki czy wychowawcy.

Problem wychowania tych dzieci to najtrudniejsze zadanie stojące przed wychowawcą. Dzieci nie były przez nikogo wychowywane, nie chodziły do szkół, tułały się po drogach, kryły się po lasach i bunkrach, czasem były sierotami prawie od urodzenia. Były więc początkowo nieufne, milczące, ponure, wciąż obawiające się tylko bicia, nie odróżniające cudzej własności od swojej. Nie chciały początkowo nic opowiadać ze swoich przeżyć, na wszystkie pytania odpowiadając stereotypowo: „Nic nie wiem, nic nie pamiętam". Nie chciały się bawić w zwykłe zabawy dziecięce, nie słuchały bajek. Jakże miałyby się bawić w kotka i myszkę dzieci, które widziały jak zwyrodnialcy hitlerowscy zabijali ludzi uciekających z transportów śmierci, jak mogłyby słuchać bajek dzieci, które przeżyły powstanie warszawskie i widziały śmierć własnych rodziców, jak mogłyby się uczyć normalnie sieroty dla których jedyną szkołą był las i wojna?

Jako jedyną zabawę dzieci uznawały najpierw tylko zabawę w wojnę albo w jazdę pociągiem „na fałszywe papiery". Spacer do lasu kojarzył im się z partyzantką i zaraz fruwały kamienie imitujące granaty. Inne dzieci były znów przedwcześnie dojrzałe, od dzieciństwa przyzwyczajone do zdobywania wszelkimi sposobami środków utrzymania nietylko dla siebie, ale i dla swojej rodziny.

Ale powoli i one uległy atmosferze otoczenia. Nowe metody wychowawcze, apelowanie do poczucia ambicji, do honoru, powoli wydają swe rezultaty, aczkolwiek dużo jeszcze trzeba cierpliwości, dużo wyrozumienia, aczkolwiek dużo wody upłynie nim ze wspomnień tych nieszczęsnych dzieci wydarte będą zupełnie straszne wizje przeszłości, nim zatrą się zupełnie w ich podświadomości owe straszne obrazy, których były niemymi świadkami.

III.

Wszystkie dzieci jednej narodowości we „wsi Pestalozziego" wychowane są wspólnie, niema więc żadnej dążności do wynarodowienia, wydarcia tym dzieciom poczucia ich spójni narodowej. Ale równocześnie dzieci jednej narodowości przyzwyczajane są do współżycia z innymi, do wzajemnego szacunku bez względu na język, narodowość czy pochodzenie, tak aby wychowanie narodowe nie stało na drodze do wzajemnego zbratania i zrozumienia. Dzieci wychowane są też religijnie, w swoim wyznaniu, ale też tak, aby to nie wywoływało żadnych zadrażnień czy wywyższania się.

Oczywiście kary cielesne we „wsi Pestalozziego" nie istnieją. Stosowana jest — jak już mówiliśmy — perswazja, apelowanie do ambicji. Budzi się u dzieci zamiłowanie do porządku, do pracy twórczej, do pomocy bliźnim.

Na początku powstał problem języka, którym dzieci tylu narodowości mają się między sobą porozumiewać. Było szereg nieporozumień i konfliktów. Dzieci polskie czuły odrazę do niemieckiego języka, nie mogąc zrozumieć jak „dobrzy ludzie" mogą mówić po niemiecku... Gdy raz wyszły dzieci francuskie naprzeciw polskim jeden z chłopców francuskich, zwany przez kolegów „Głobi" przedstawił się swoim przezwiskiem, na co dzieci polskie zareagowały b. wojowniczo i ruszyły do bitki z małymi Francuzami. Ledwo można było walczących rozdzielić... Cóż się okazało? Mali Polacy zrozumieli, że on mówi „Głupi" i wzięli to za obrazę ich narodowości. Ale dziś jest przyjaźń i mali Polacy malują ładne rysunki dla małych Francuzów.

Z biegiem czasu sieroty bądź nauczyły się porozumiewać między sobą w języku francuskim czy niemieckim, bądź wytworzyły jakiś śmieszny mieszany volapuk. Dzieci zawsze się porozumieją.

IV.

Kierownictwo ośrodka niechętnie widzi gości. Nie chce zaspakajać ciekawości zwiedzających, nie chce wytwarzać dzieciom wrażenia, że są przedmiotem jakiegoś pokazu. Ale niedawno wyjątkowo grupie dziennikarzy pozwoliło na zwiedzenie „wsi Pestalozziego", uchyliło rąbek tajemnicy. Można było się więc przekonać o wewnętrznym życiu w tym przedziwnym ośrodku.

Każda z sierot ma w swym kraju rodzinnym „matkę" to jest osobę, która z daleka się nią opiekuje. Właśnie jedna z dziewczynek otrzymała od swego opiekuna domowego wiadomość, że znalazła się osoba, która zgodziła się być dla niej „przybraną matką". Dziewczynka zaczęła krzyczeć z radości „Już mam mamę — już mam mamę". Była tym tak przejęta, że do wieczora tylko o tym mówiła, w nocy jeszcze budziła towarzyszki i wołała „Już mam mamę..." W Trogen są sieroty od lat 4 do 12, większość w ogóle rodziców nie pamięta, albo ma o nich jakieś mgliste wyobrażenie, w każdym razie, obserwując otoczenie zdawały sobie sprawę, z tego, co to znaczy matka, dom rodzicielski, tęskniły podświadomie za czymś czego same nigdy nie zaznały.

Niektóre dzieci okazują fenomenalne talenty w kierunku np. artystycznym. Jest mały chłopak polski, który znaleziony został na drodze, gdy patykiem kreślił coś na śniegu. Okazało się, że ma on jakiś przedziwny talent malarski. W ośrodku zaczął zaraz rysować sceny z wojny, bombardowanie miast, bitwy czołgów, trupy pomordowanych, wszystko, bez żadnej perspektywy, bez „szkoły", ale z realizmem i niezwykłą pamięcią szczegółów. Rysował to, co się najbardziej wbiło w jego dziecięce wyobrażenie. Ale z biegiem czasu atmosfera otoczenia, nowe wrażenia, widoki przepięknej okolicy wymazały powoli z pamięci tamte obrazy. Zaczął rysować sceny alegoryczne też dowodzące wyjątkowej wyobraźni artystycznej u małego malarza - sieroty, widoki górskie.

Jeszcze sporo urazów pozostaje w duszach dzieci, którym dane było przeżyć wrażenia przerastające ich dziecięcą wrażliwość. Jeszcze długo wracać będą koszmarne wspomnienia miast bombardowanych, gościńców ostrzeliwanych, pociągów deportacyjnych, polowań na ludzi. Ale powoli zacierają się one na rzecz nowych wrażeń, których stara się sierotom nie skąpić kierownictwo „wsi Pestalozziego".

V.

Kierownictwo „Wsi Pestalozziego" jest dobrej myśli. Z całego świata płynie do Trogen pomoc dla utrzymania tej pięknej placówki. Płyną z Palestyny owoce południowe, nadchodzą pomoce szkolne i książki, nawet obrazki i ozdoby, aby tylko sierotom we „wsi Pestalozziego" było nietylko dobrze, ale miło i pięknie.

Kierownictwo ośrodka zdaje sobie sprawę z trudności zadań przed nim się piętrzących. Trudności, które będą wynikać z dorastania sierot, z potrzeby szukania wciąż nowych dróg wychowawczych.

Jak się więc dalej rozwinie ta placówka, jakie rezultaty wyda ten jedyny w swoim rodzaju szlachetny eksperyment wychowawczy? Miejmy nadzieję, że w duchu Pestalozziego poczęte przedsięwzięcie godne będzie pamięci wielkiego Szwajcara - wychowawcy, śniącego mit lepszej, szlachetniejszej ludzkości. Miejmy nadzieję, że sieroty wychowane w Trogen nie tracąc swej przynależności narodowej nie zrywając więzi ze swym krajem rodzinnym, szerzyć będą wpojoną im we „wsi Pestalozziego" ideę braterstwa wszechludzkiego i poszanowania człowieka, kontynuować będą międzynarodową solidarność poczętą tam, przy zabawach dziecięcych małych Polaków z małymi Austriakami, małych Francuzów z małymi Węgrami. Będzie to najwspanialszy pomnik wystawiony pamięci wielkiego Szwajcara i obywatela ludzkości.

Jan Reychman

Z KSIĄŻEK

KSIĘGARNIA WŁ. WILAK, POZNAŃ

Dr Stefan Zaleski, prof. Uniwersytetu Warsz. — ISTOTA I ROZWÓJ NAUKOWEJ ORGANIZACJI PRACY, wyd. II, Biblioteka Tygodnika Gospodarczego nr 11, r. 1947, str. 48, zł 120.—.

Inż. J. Witowski — GOSPODARKA MATERIAŁOWA, Biblioteka Tygodnika Gospodarczego nr 6, r. 1946, str. 29, zł 100.—.

Inż. J. Witowski — ADMINISTRACJA PRZEDSIĘBIORSTWA, Biblioteka Tygodnika Gospodarczego nr 7, r. 1947, str. 23, zł 100.—.

Inż J. Witowski — SPRAWOZDAWCZOŚĆ W PRZEDSIĘBIORSTWIE, Biblioteka Tygodnika Gospodarczego nr 4, r. 1947, str. 29, zł 100.—.

St. Bolesław Poradowski — NAUKA HARMONII w zarysie, z uwzględnieniem tonacyj kościelnych i harmonii nowoczesnej, wyd. III, str. 80.

Dr. St. Waschko — INCOTERMS 1936, Międzynarodowe prawidła wykładni formuł handlowych, przekład z francuskiego, Biblioteka Tygodnika Gospodarczego nr 2, str. 32.

Dr T. Cyprian — FOTOGRAFIA MAŁOOBRAZKOWA, poradnik fotograficzny, str. 77, zł 200.—.

Dr A. Lewandowski — FOTO-RECEPTY, chemiczne przepisy fotograficzne, r. 1947, str. 128, zł 200.—.

WYDAWNICTWO TOW. NAUKOWEGO K. U. L.

Zdzisław Papierkowski — CO PRAWO KARNE ZAWDZIĘCZA PSYCHOLOGII? wykłady i przemówienia — 22 — r. 1947, str. 28.

Zdzisław Papierkowski — SOCJOLOGICZNE I FILOZOFICZNE OBLICZE KARY, wykłady i przemówienia — 24 — r. 1947, str. 24.

St. K. Papierkowski — TWÓRCZOŚĆ LITERACKA NARODÓW POŁ. SŁOWIAŃSKICH — Serbów, Chorwatów, Słoweńców i Bułgarów, r. 1947, str. 136, tom 38.

Wydawnictwo Instytutu Bałtyckiego

Józef Nieroda — **Miasta Pomorza Wschodniego**, str. 39, r. 1947.

Tadeusz Ocioszyński — **Przemiany w światowej żegludze morskiej**, str. 75, r. 1947.

Kazimierz Demel — **Życie morza**, zarys oceonografii biologicznej, str. 443, r. 1947.

Bolesław Srocki — **Nowa Polska i nowe Niemcy**, szkice i studia, str 144, r. 1947.

Wydawnictwo Krajowej Centrali „Caritasu", Kraków.

Ks. Dr. Tadeusz Glemma — **Z Dziejów Miłosierdzia Chrześcijańskiego w Polsce**, str. 93, r. 1947.

Tadeusz Dalewski — **O. Kuźnowicz, przyjaciel młodzieży**, str. 22, r. 1947.

Pius XII — **Wiara i Miłość** w życiu św. Wincentego a Paulo, spolszczył Ks. Michał Rekas, str. 58, r. 1947.

Św. Wincenty a Paulo a czasy obecne — Ks. Alfons Schletz, Ks. Aleksander Usowicz, Ks. Franciszek Bracha, Ks. Antoni Baciński, Ks Michał Rękas, str. 109, r. 1947.

Redagują: **Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki.**
Wydawca **Kolegium Redakcyjne**
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30 — 13.30.
Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych
Druk. Skolimowska 5.
B-36128